odgłosy

Nr 7 (311)
16 II 1964 R.
CENA 1 ZŁ

TYGODNIK ROK VII

W numerze: Rozmowa ze Stanisławem Czernikiem ● Wiersze Marka Wawrzkiewicza ● Spotkanie z Bohdaną Majdą i Henrykiem Modrzewskim ● Bek: Książka o Polsce ● Bąbol: Okulary po dziadku ● Punch o panu A.

weselne basy

TADEUSZ NOWAK

1

Było ich osiemdziesięciu ośmiu. Rozstrzelano osiemdziesięciu trzech. Przy życiu pozostało pięciu Cyganów. Była to cygańska kapela: skrzypek, basista, klarnecista, kornecista i bębnista.

Kapela przez cały czas egzekucji stała na zbitym z desek pomoście. Przygrywała. Za kapelą stał młodziutki gestapowiec. Do nutowego zeszytu wpisywał to, co grali Cyganie. Zapisywał skrupulatnie. Po kilka razy kazał im grać te same przyśpiewki. Sprawdzał nuty. Kiwał głową. Cyganie grali inną przyśpiewkę.

Egzekucja szła sprawnie. Z wyjątkiem staruszka, który zaczął uciekać, wpełzł do rury ściekowej przechodzącej pod drogą, nikt nie płakał i nie krzyczał. Gdy w rurze zakłuto bagnetami staruszka. Cyganie przestali grać. Nie było już komu. Usiedli wprost na deskach pomostu. Gestapowiec spisujący przyśpiewki w nutowym zeszycie poczęstował ich papierosem. Sam również zapalił siadając na bębnie.

Tymczasem z łąki, na której odbywała się egzekucja ściągano za rozrzucone ręce i nogi pomordowanych. Wrzucano ich do wykopanego uprzednio dołu. Dół przysypano gaszonym wapnem, wapno warstwą siwego piasku, piasek zlano terpentyną. Dół zrównano z łąką, obłożono darnią, utłuczono butami, polano wodą.

Gestapowcy usiedli na rozłożonych płaszczach, powyjmowali z chlebaków kiełbasę i konserwy, odkorkowali manierki z francuskim rumem i zabrali się do posiłku. Myśmy siedzieli poza nimi wprost na trawie. Niektórzy z nas również zabrali się do jedzenia. Mnie się nie chciało jeść. Żułem zerwany listek szczawiu. Miał smak octu i żółci.

Pierwsi podnieśli się gestapowcy. Jako najmłodszego spośród woźniców przywołali mnie do siebie i kazali mi pozbierać z łąki rozrzucone papierki, skórki po kiełbasie i resztki niedojedzonego chleba. Rozkazali podnieść jedną z darni maskującej rów i zakopać śmieci.

Gestapowcy podeszli do muzykantów. Z bębna podniósł się młodziutki gestapowiec. Cyganie nadal siedzieli na pomoście. Oficer rozmawiał o czymś z młodziutkim gestapowcem. Ten zasalutował i podszedł do muzykantów. Cyganie podnieśli się z desek. W rękach trzymali instrumenty. Gestapowiec podniósł rękę. Muzykanci zaczęli grać oczepinową piosenkę. Gestapowiec ruszył w stronę pobliskiej leszczyny. Skinął ręką. Za nim szli muzykanci. Przez cały czas grali tę oczepinową piosenkę.

Wydawało mi się, że przez skrzypce, przez huczące basy, na baranią skórę bębna, na stojące nad łąką upalne słońce, spadają ścięte nożycami warkocze. Były to czarne warkocze, ale w słońcu, w olszynie, mieszały się z płowymi, zieleniały. Im bliżej olszyny, tym warkoczy było coraz więcej. Jak by wszystkie dziewczęta z całej okolicy miały oczepiny na tej łące pod olszyną. Warkoczy było tak dużo, że można było z nich wyplatać koszyki, splatać sznury do dzwonów kościelnych, wić z nich lejce do weselnej uprzęży. Na tych lejcach można było prowadzić do ślubu siwki, narowiste gniadosze, i ledwie dotykające kopytami ziemi dereszowe ogiery. Równie dobrze z tych obcinanych warkoczy można było wić sznury, uwiązać je między jabłoniami, połączyć i huśtać się na nich od świtu do nocy.

A olszyna była coraz bliżej. I nie była to już olszyna, ale młodziutka mężatka w czepcu zawiązanym na wstążki pod brodą. I nie była to już młodziutka mężatka, ale stara Cyganicha tłukąca w moździerzu pieprz, przesiewająca przez włosiane sitko pszenną mąkę, gotująca prażuchy, smażąca na słonecznikowym oleju weselne podpłomyki.

dalszy ciąg na str. 5

PROPOZYCJE

W bieżącym, 1964 roku, świadectwa dojrzałości otrzyma rocznik 1946.

Jest to czoło wyżu demograficznego, roczcznik, który jest mniej więcej o 40 proc. liczniejszy od poprzednich. Za nim idą następne jeszcze liczniejsze. Ta wysoka fala zażąda od nas miejsca na wyższych uczelniach, zażąda pracy, za lat kilka — mieszkań, bo zacznie zakładać rodziny, liczne, młode rodziny. Nasza radość i duma, nasz kłopot serdeczny, nasi — następcy.

Na naszych oczach dojrzewa młode, bujne pokolenie wyrosłe już w kraju „opierzonej rewolucji". Dziedzice państwa o ustroju, który był wymarzony przez jego ojców i dziadów, ustroju okupionego krwią i życiem tysięcy...

Od nich, od ich rozumu i ofiarności zależeć będą losy owej budowy i jej kontynuacja.

I dlatego sprawy wychowania młodego pokolenia są tak wielkiej wagi, i dlatego rola szkoły jest tak wielka. Musi ona bowiem przekazać młodzieży nie tylko jak najgłębszą i nowoczesną wiedzę i umiejętności, ale ponadto ugruntować i rozwijać w młodych sercach więź uczuciową z czasami i ludźmi, którym ojczyznę wolną i możliwość nauki i pracy zawdzięcza i — pragnienie ofiarnej służby socjalistycznej ojczyźnie.

Zadanie to b. poważne i ogromnie trudne. Jest też dla wszystkich zrozumiałe, że sama szkoła mu nie podoła, mimo (a może — tym bardziej) że wkroczyła w okres burzliwego rozwoju. Realizuje się oto reformę szkolną: wprowadza nowe i nowoczesne treści do programów nauczania, opracowuje się nowy model szkoły średniej ogólnokształcącej i zawodowej, poszukuje — nowych metod nauczania i wychowania. Obserwuje się renesans polskiej myśli pedagogicznej i masowe próby doskonalenia pedagogicznego nauczycieli — praktyków.

Szkoła podejmująca ten wielki trud nie jest osamotniona.

Wokół niej koncentruje się współdziałający w wychowaniu wysiłek partii, rad narodowych, Frontu Jedności Narodu, organizacji młodzieżowych.

Wydaje mi się, że w tej wielkiej sprawie wychowania młodego pokolenia szczególną rolę odgrywać powinna prasa.

Porzucając rozważania natury ogólnej sądzę, że konkretnie nasze „Odgłosy" mogłyby np.:

1) Przyjść (zwłaszcza poloniście i nauczycielowi Wiadomości o Polsce) z bardzo konkretną pomocą w formie szerokiej informacji o Łodzi dzisiejszej, a zwłaszcza o trudnym problemie jej przebudowy, o sposobie odejścia od jednokierunkowego, włókienniczego charakteru naszego przemysłu, o ciekawych przeobrażeniach socjologicznych, o jej życiu kulturalnym, naukowym i gospodarczym, ukazując sylwetki wybitnych literatów, uczonych, techników, reżyserów i ludzi sztuki w ogóle. „Odgłosy" wprawdzie tę akcję zapoczątkowały już w roku ubiegłym ale sądzę, że informacja powinna być szersza.

2) „Odgłosy" powinny stać się trybuną dla dyskusji na tematy wychowawcze. W dyskusji tej winni wziąć udział nie tylko nasi pedagodzy, ale również i przedstawiciele społeczeństwa nie zajmujący się profesjonalnie pedagogiką.

I wreszcie —

3) Proponuję, by w „Odgłosach" mogła wypowiadać się nasza młodzież.

Twierdzę, że jest sporo dziewcząt i chłopców w naszych szkołach średnich, którzy by potrafili napisać coś interesującego na temat życia, które ich otacza.

Rzecz stawiam pod rozwagę P. T. Redakcji.

MIECZYSŁAW WOŹNIAKOWSKI

HENRYK KATZ

OSTATNIE EPIZODY

W moim artykule („Legenda sprzed stu lat") starałem się dać obraz akcji robotniczych w Anglii w 1863 r. na rzecz powstania styczniowego.

Przewodniczącym Ligi na rzecz niepodległości Polski był adwokat londyński, demokrata z przekonań, Edmund Beales, skarbnikiem młody markiz Townshend, filantrop i przyjaciel klasy robotniczej. Pozostałymi członkami Komitetu Ligi byli prawie wyłącznie robotnicy.

Liga nie mieszała się do wewnętrznych sporów Polaków, co więcej — uznawała autorytet księcia Władysława Czartoryskiego jako reprezentanta Polskiego Rządu Narodowego. Wywołało to nawet niechęć polskiej emigracji demokratycznej w Anglii, której przewodzili 74-letni Ludwik Oborski i 54-letni Antoni Żabicki, uczestnicy powstania listopadowego oraz powstań i rewolucji lat 1848-49. Lecz ta sytuacja poczęła ulegać zmianie na wiosnę 1864 roku.

Przyjazd do Londynu Garibaldiego z początkiem kwietnia stał się ważnym faktem w historii Anglii tego okresu. Wywołał on tak ogromną falę ludowego entuzjazmu, że sfery wyższe wyraźnie zaniepokoiły się możliwością niepożądanych następstw. Garibaldi był gorąco witany na całej trasie przejazdu. Największą demonstrację zorganizowano w Londynie, a setki tysięcy londyńczyków, w szczególności robotników, dawało wokół dworca i na ulicach głośny upust swym uczuciom. W pochodzie, który się uformował, szła również grupa polska, którą tłumy witały okrzykami „Polska na zawsze". (Poland for ever). 17 kwietnia odbyła się wielka demonstracja w Crystal Palace, na której różne delegacje wręczyły „adresy" wielkiemu gościowi. Najwięcej ożywienia — według relacji reportera „Times" — wywołała delegacja polska. Szła ona powolnym krokiem niosąc chorągiew, na której było wypisane tylko jedno słowo „Polska". Na jej widok Garibaldi powstał z krzesła i, zbliżywszy się do publiczności, zawołał donośnym głosem: „Szlachetny narodzie angielski nie opuszczaj Polski". Wywołał tym wielkie uniesienie ze strony publiczności. W skład delegacji polskiej wchodzili: L. Oborski, A. M. Skulimowski, A. Koźmian, J. Lubelski, A. Potocki i A. Żabicki. Wręczyli oni Garibaldiemu tekst adresu uchwalony na zgromadzeniu polskich emigrantów, odbytym w dniu 7 kwietnia, a następnie podpisanym przez 135 osób.

W następnych tygodniach i miesiącach uwaga działaczy robotniczych i współpracujących z nimi demokratycznych intelektualistów pochłonięta była licznymi sprawami wewnętrznymi, w szczególności bojem o swobodę mityngów w parkach i walkę o demokratyczne prawo wyborcze. Tylko przy jednej okazji spotykamy — z końcem kwietnia 1864 roku — działaczy Ligi na polskiej manifestacji. Zmarł członek niedawno rozwiązanej Delegacji Emigracji Polskiej, uczestnik powstania listopadowego i bojownik demokracji, Feliks Nowosielski. Na cmentarzu w Highgate (tam gdzie 19 lat później pochowano Karola Marksa) żegnali go z ramienia Ligi dwaj jego działacze John Robert Taylor i John Richardson. Ten ostatni odczytał na tym pogrzebie wiersz, którego oryginalny tekst znaleźliśmy w Bibliotece PAN w Kórniku.

„Tis past thy time of strife and pain
Thy life's dong agony,
And Thou art gone where pain shall cease.
And Tears are wiped away.
At rest — in peace: we leave Thee here
Beneath our English skies,
No longer Exile in the land
Where thy brave soul shall rise,
Son of the Noble Land for whom
Thou would'st have died to save,
Her Tyrants cannot reach Thee here
Within thy quiet Grave.
Free Tears are shed above Thee now;
This shall thy Requiem be —
„The Patriot Spirit Cannot Die,
And Poland Shall Be Free".

(„Minął już czas twych walk i bólu,
Długa agonia twego życia,
Odszedłeś tam, gdzie ból ustaje,
I łzy są ocierane.
Spoczywaj w ciszy. Tu cię zostawiamy,
Pod angielskimi niebiosami;
Tam, gdzie twa dzielna dusza
Wzbije się, nie będziesz Wygnańcem,
Synu Szlachetnej Ojczyzny, dla której
Zbawienia oddałbyś życie.
Tyrani, którzy gnębią ją, już ciebie
W tym cichym grobie nie dosięgną.
Łzy wolnych teraz są dla ciebie,
Niech takie będzie Requiem:
„Duch Patrioty nie umiera
A Polska będzie wolna".)

dalszy ciąg na str. 3

JAN KOPROWSKI

KTO TO BYŁ CARL OSSIETZKY?

Ludzie, którzy w latach trzydziestych naszego wieku osiągnęli wiek męski, pamiętają, być może, to nazwisko. Carl Ossietzky, pacyfista, nieprzejednany wróg wojny i hitleryzmu, laureat Nobla w dziedzinie działalności pokojowej, zmarł w wyniku tortur w obozie koncentracyjnym, zapisując się na trwałe na kartach historii Niemiec i Europy. W miarę jak oddalamy się od jego śmierci, przybywa nam dokumentów, dotyczących jego życia i jego pracy. Ostatnio w Niemczech zachodnich ukazała się książka o Ossietzkym, pióra Kurta R. Grossmanna, do roku 1933 generalnego sekretarza Niemieckiej Ligi Praw Człowieka. Przynosi ona wiele nowych szczegółów, przedtem nieznanych. Nie jest to jedyne źródło, na którym się opieram. Carlem Ossietzkym interesuję się od dawna i mam w swoich zbiorach inne jeszcze cenne o nim wiadomości.

Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, przodkowie Carla Ossietzky'ego byli Polakami. Wskazuje na to nie tylko nazwisko, lecz również miejsce pochodzenia jego rodziców, o których Grossmann pisze, że pochodzili „z pogranicza niemiecko-polskiego", a matka jego nazywała się Rozalia Maria Pracka. Była to rodzina katolicka i dopiero po śmierci ojca, gdy matka Carla wydała się powtórnie za mąż, wpływ ojczyma-wolnomyśliciela spowodował jego przejście na protestantyzm. W roku 1918 porzucił swoją posadę w sądzie hamburskim, by — jak sam napisał na podaniu o zwolnienie — poświęcić się pracy pisarskiej. W początkach roku 1926 wstępuje Ossietzky do redakcji tygodnika „Die „Weltbühne", pisma lewicowego, którym kierował znany publicysta Siegfried Jacobson. Pismo to, małego formatu o czerwonej okładce, ukazujące się i dziś w Berlinie, miało już wtedy za sobą osiem lat istnienia i trzynaście tysięcy stałych prenumeratorów. W niecały rok później Siegfried Jacobson zmarł, i wówczas młody, bo dopiero dwudziestosiedmioletni Ossietzky objął prowadzenie pisma, czyniąc zeń trybunę walki z militaryzmem, faszyzmem i ugodową socjaldemokracją. Nie należy zapominać, że Ossietzky miał już pewne doświadczenie, zdobyte wcześniej, gdyż zaraz po wojnie stał się współzałożycielem i organizatorem komitetu pn. „Nigdy więcej wojny", a przez pewien czas należał również do liberalnego ruchu pacyfistycznego „Clarté.

W roku 1931 za umieszczenie na łamach „Weltbühne" artykułu o tajnych zbrojeniach Republiki Weimarskiej, głównie zaś o odbudowie lotnictwa, sąd państwowy wytoczył Ossietzky'emu proces o zdradę stanu i zasądzono go na osiemnaście miesięcy więzienia. W dokumencie sądowym orzeczono: „Oskarżonych (Ossietzky'ego i autora artykułu Kreisera) nic nie obchodzi wzgląd na interes ojczyzny w ciężkiej chwili jej istnienia, i w pełni świadomości nieposzanowania prawa, z dążności do sensacji, wykroczyli oni daleko poza granice rzeczowej krytyki" Kreiser zdążył wyjechać za granicę, do Paryża, natomiast Ossietzky nie skorzystał z możliwości otrzymania paszportu i pozostał w kraju. Siedział w więzieniu do grudnia 1932 roku po czym w wyniku amnestii wyszedł na wolność. Nie cieszył się nią zbyt długo. Po dojściu Hitlera do władzy i podpaleniu Reichstagu, dokładnie 28 lutego 1933 roku zaaresztowano Ossietzky'ego ponownie w jego mieszkaniu. Od tego momentu zaczyna się ciąganie Ossietzky'ego po więzieniach i obozach koncentracyjnych, bity i maltretowany, nabawia się gruźlicy płuc. Jest rok 1936. Władze przewożą go do szpitala berlińskiego. Jednocześnie sprawa przedostaje się za granicę. Cała Europa zaczyna grzmieć w jego obronie. Komitet nagrody Nobla za działalność pokojową podejmuje decyzję: Ossietzky zostaje laureatem. Nie może zgłosić się osobiście w Sztokholmie po odbiór nagrody, nie może powiedzieć, co się w Niemczech dzieje i co on o tym wszystkim sądzi. Wysyła jedynie depeszę do Sztokholmu następującej treści: „Wdzięczny za nieoczekiwane wyróżnienie — Carl Ossietzky".

Sprawa stała się zbyt głośna, aby Ossietzky'ego móc wysłać na powrót do obozu. Zresztą jest ciężko chory. Zwolniony ze szpitala ostatnie półtora roku swego życia przebywa z żoną w sanatorium prywatnym, pod stałą obserwacją policji hitlerowskiej. Umiera 4 maja 1938 roku. Po wojnie, żona jego Maud Ossietzky, wznawia wydawanie „Weltbühne", pierwszy jej numer poświęcając pamięci męża.

Ossietzky był człowiekiem wielkiej odwagi i wielkiego charakteru. Do końca pozostał wierny swoim przekonaniom i nie ugiął się nawet w najcięższych chwilach swego życia. Był politykiem o jasnym umyśle, trafnie analizował sytuację i wyciągał wnioski na przyszłość. Wszystkie jego przewidywania co do rozwoju sytuacji w Niemczech sprawdziły się całkowicie. Carl Ossietzky był znakomitym dziennikarzem i publicystą. Mawiał zwykle: „Dziennikarstwo nie jest żadnym ubezpieczeniem na życie. Dopiero ryzyko daje mu prawdziwy napęd" Jego artykuły polityczne stanowią niedościgły wzór umiejętności analizy, osądu i wnioskowania. Są przy tym świetnie pisane: językiem zwięzłym, konkretnym, dowcipnym. Miał zresztą szerokie zainteresowania. Nie tylko polityka była jego żywiołem. Interesował się sztuką, zwłaszcza teatrem. Napisał mądre studium o Shawie i Wedekindzie. Jego przyjaciele, zwolennicy i wyznawcy nie mogli odżałować, że odszedł tak wcześnie. Satyryk i współpracownik „Weltbühne", Kurt Tucholsky, pisał z Paryża do Grossmanna: „Dlaczego, dlaczego Ossi (tak nazywali Ossietzky'ego przyjaciele) nie uciekł za granicę?" Nawet gdyby Ossietzky miał możliwości, nie uczyniłby tego kroku. Chciał zostać w kraju, być sumieniem i wyrzutem Niemiec. Jego zachowanie się w więzieniu i obozie koncentracyjnym było nieustającym źródłem pokrzepienia dla współwięźniów, dodawało im hartu i siły do wytrwania. Carl Ossietzky był żywym symbolem innych Niemiec Został tym symbolem po dziś dzień. Będzie zawsze.

POLOWANIE NA LUDZI

Walka wojsk amerykańskich z powstańcami wietnamskimi trwa od lat. By położyć kres tej wojnie, w której żadna ze stron nic nie zyskuje, de Gaulle proponuje — neutralizację Wietnamu. Upadek systemu Diema obudził wielkie nadzieje ludności, lecz mieszkańcom południowowietnamskich wiosek i plantacji ryżu nie przyniósł pokoju. Wojna trwa nadal. Amerykanie wprowadzili nową taktykę. Jej podstawowym atutem są uzbrojone helikoptery. Aparaty wyposażone w 8 działek szybkostrzelnych, lub 16 wyrzutni rakietowych. Wietnamczycy potrafili jednak zniszczyć trzecią część ze 150 maszyn zaangażowanych do walk na ich terenie. Powstańcy czerpią swe siły głównie w oparciu o ludność, która ich ukrywa i żywi.

Jak zwykle w wojnie partyzanckiej w dzień, tereny zajęte przez armię regularną (400.000 żołnierzy), w nocy należą do powstańców. Z każdym tygodniem wojna zbliża się do stolicy. Nocą walki już toczą się na peryferiach Sajgonu.

Bob z Milwaukee, to właśnie pilot takiego „myśliwskiego" helikoptera. W swym hełmie kryjącym trzy czwarte twarzy wygląda jak kosmonauta, oczy przysłania mu ruchomy daszek z pleksiglasu, usta zasłania mikrofon za pomocą którego porozumiewa się z załogą. Dziwnego ubioru dopełnia kamizelka kuloodporna z płytek plastykowych. Do tego jeszcze Colt — 45 i żelazna porcja pigułek do dezynfekowania wody. (konieczna w razie przymusowego lądowania).

Tak wyekwipowany Bob wyrusza na „akcję". W ciągu 8-miesięcznego pobytu w Wietnamie nie raz już wracał z tych akcji z „dziurami w garnku" jak sam to określa. Jednak w swym hełmie, z witaminami, z Kleenexem i coca-colą ma tu swój skrawek Ameryki.

O co w tej walce chodzi? To nieustanne „polowanie" na przyczajonych wśród pól ryżowych partyzantów. Noc rozbrzmiewa odgłosami wystrzałów i detonacji, rano wszystko się uspokaja, życie wydaje się normalne.

A przecież USA nie są w stanie wojny z Wietnamem. Oficjalnie Amerykanie występują tu w roli „doradców", żołnierze nie mają prawa strzelać, chyba w wypadku „niespodziewanego ataku" w obronie własnej. Na podstawie tej konwencji, w której hipokryzja jest doprowadzona do absurdu — pilot nie jest dowódcą helikoptera, ani nikt z załogi, lecz „obserwator" wietnamski. Teoretycznie to on wskazuje cel lotu, on decyduje, kiedy zachodzi potrzeba użycia broni. W praktyce Amerykanie ignorują jego obecność w maszynie.

Oto Bob z Milwaukee w akcji. Wystrzały z ziemi, suchy grzechot kul po kadłubie maszyny. Helikopter spływa pionowo w dół, już czarny cień śmigieł kładzie się na polu ryżowym, maszyna jest piętnaście, dziesięć, pięć metrów nad ziemią... Pod nim wykwitają dymy wystrzałów. Z kolei strzelec z helikoptera uruchamia swe działka. Partyzant wietnamski jest ukryty w krzakach, stamtąd dochodzą strzały.

I już po błyskawicznej akcji. Helikopter jest znów wysoko. Polowanie na strzelca zakończone. Wynik — pozostanie nieznany. Bob przelatuje nad płonącą wioską, tu widać były w akcji rakiety napalmowe. Lecz partyzanci pozostają nieuchwytni, przeciwnie, jest ich coraz więcej, wciąż przybywają nowi, są nie do pokonania. Cała akcja USA zdaje się bezcelową — zawisa w próżni. Następnej nocy helikoptery znów powrócą, i cały bezsens tej nie kończącej się walki rozpocznie się od nowa.

Bob nie szuka sensu, zrobił swoje i teraz odpoczywa w swym wentylowanym namiocie, na swoim skrawku Ameryki na ziemi wietnamskiej. I pewnie słucha jazzu z San Francisco.

300 mln franków

Pomimo siedemnastoletniego doświadczenia i ogromnej praktyki, komisarz policji francuskiej Emile Benhamou, człowiek, który sam jeden rozwikłał wiele poważnych afer fałszerskich, uratował Bank Francji przed olbrzymimi stratami (ponad 10 miliardów franków), tym razem stanął w obliczu zagadki. Oto trzyma w ręku plik banknotów 100-frankowych niemal nie różniących się od prawdziwych. By wyszukać w nich błędy trzeba było uciec się do pomocy specjalnych silnych lup i sztabu najlepszych fachowców.

Inspektor sądził, że autor tych genialnych falsyfikatów, musi być szefem potężnego gangu, dysponującego wytwórnią wyposażoną w najnowocześniejsze przyrządy i maszyny.

Gdy z bronią w ręku wkraczał do otoczonej przez policję, skromnej willi, typowego domku podmiejskiego, pod nr 33 przy alei Sérat w Montgeron, nie chciało mu się pomieścić w głowie, by stąd właśnie wychodziły w świat falsyfikaty — arcydzieła.

Jego zdumienie było tym większe, gdy stanął naprzeciw drobnego, nieśmiałego mężczyzny — Czesława Bojarskiego — pytającego z silnym akcentem słowiańskim: „Ależ, panowie, czego szukacie u mnie?"

A więc tak, ten genialny fałszerz, który wydrukował ponad 300 milionów franków niemal bezbłędnie podrobionych, na maszynach własnego pomysłu, na papierze własnej produkcji (który przerabiał z bibułek do papierosów w mikserze elektrycznym również przez siebie skonstruowanym), który jest sensacją dnia nr 1, jego nazwisko figuruje na pierwszych stronach gazet francuskich i płynie w eter na falach radiowych — to Polak, inżynier Czesław Bojarski urodzony w 1912 roku, absolwent politechniki gdańskiej, oficer w kampanii wrześniowej, internowany na Węgrzech, ucieka następnie do Francji, gdzie wstępuje do armii polskiej. Po wojnie żeni się z Francuzką i osiedla się na stałe we Francji, by tam powiększyć grono drobnych wynalazców-maniaków. Chce opatentować... korek do rozlewania napojów, potem elektryczną maszynkę do golenia — ale jego „wynalazki" są już wcześniej wynalezione. Jest rozgoryczony. Wreszcie buduje w Montgeron willę według własnego projektu, a za pieniądze teściów. W największej tajemnicy kupuje stare narzędzia grawerskie i ręczną prasę drukarską. Własnoręcznie graweruje klisze do powielania swych banknotów. Nocami pracuje, by odbić około 30 milionów sztuk stufrankówek. Gdyby nie jego jedyny wspólnik, stary przyjaciel Antoni Dogweare (trzeba było przecież rozprowadzić pieniądze), nie byłby nigdy schwytany. Osobiście nie popełnił nigdy najmniejszego błędu.

Gdy inspektor Benhamou przesłuchiwał Bojarskiego, policja przeszukiwała dom. Wreszcie pod linoleum i dywanem w gabinecie, w miejscu gdzie stał elektryczny kaloryfer znaleziono klapę w podłodze. Po jej uniesieniu ukazało się wejście do piwnicy, to tam mieściła się „pracownia mistrza".

Komisarz powiedział: „No musimy skończyć z tą produkcją — bo zatrułaby ona Bank Francji".

Afera Bojarskiego zdystansowała rozmachem i precyzją wykonania wszystko, czego w tej dziedzinie dokonano na przestrzeni ostatnich lat dwudziestu. Zbladła na tym tle nawet sławna sprawa niejakiego Juana Sabajou (Hiszpania), na której ślad natrafiono w roku 1961 a schwytano przestępcę, po usilnych poszukiwaniach, w październiku 1963. W posiadaniu policji znajdowało się 13.058 monet jednofrankowych, które Sabajou fabrykował najspokojniej w czasie weekendu w swym domku campingowym. Wycinał je sztancą w arkuszu blachy ze stopu miedzi. Wybił w ten prosty sposób 50 miljonów starych franków, które rozprowadzał na targach, Burmistrz miasteczka, w którym działał Sabajou uważa go za artystę i dotąd marzy o stworzeniu w jego domku muzeum.

A co do Bojarskiego, no cóż, potwierdził, acz w swoisty sposób, pogląd, że Polacy to zdolny naród. Prawdę mówiąc cała sprawa wywołuje więcej podziwu niż oburzenia. Tym więcej, że ten zupełnie nietypowy przestępca szukał, jak widać, na tej drodze sposobu zaspokojenia swych zawiedzionych ambicji. On sam jest tym wszystkim raczej zdziwiony. W liście z więzienia napisał do żony: „Obecnie, kiedy podpisałem zawieszenie broni z Bankiem, nie rozumiem dlaczego nie dają mi laboratorium do pracy?"

odgłosy w świecie

DRUGA FAZA

Senator Barry Goldwater okazał się jak zwykle najbardziej nieprzejednany. Zażądał wysłania oddziałów piechoty morskiej dla opanowania rurociągu, którym dostarcza się wodę do amerykańskiej bazy wojskowej na Kubie. Oficjalni przedstawiciele administracji amerykańskiej użyli wprawdzie rozmaitych mocnych słów, nie przyjęli jednak propozycji senatora z Arizony. W rezultacie — być może — w niektórych środowiskach USA senator Goldwater zapisał jakiś dodatkowy punkt na swoją korzyść, lub utracił coś z popularności prezydenta Johnsona.

Z doniesień prasy codziennej czytelnicy znają na pewno przebieg zatargu wywołanego zatrzymaniem 4 kubańskich kutrów oraz ich załóg przez władze amerykańskie, na co rząd kubański — w formie represji — odpowiedział wstrzymaniem dopływu wody do bazy w Guantanamo. W amerykańskiej propagandzie odbicie tego zatargu przybrało kształt dość swoisty. Przeciętny Amerykanin nie miał — jak się zdaje — zbyt wielu szans, żeby się dowiedzieć, że decyzja rządu kubańskiego była odpowiedzią na aresztowanie rybaków kubańskich oraz że od ich zwolnienia oraz zwrócenia zatrzymanych kutrów władze kubańskie uzależniły przywrócenie dopływu wody do Guantanamo. Wiadomości i komentarze prasowe czy też wypowiedzi rozmaitych polityków koncentrowały się głównie na drugim fakcie — wstrzymaniu dopływu wody — pomijały zaś, lub tylko marginesowo wspominały bezpośrednią przyczynę tej decyzji.

Tak więc Amerykanom sugerowano taką mniej więcej wersję: Fidel Castro zarządził wstrzymanie dopływu wody, żeby narazić amerykańskich żołnierzy w Guantanamo na dodatkowe trudności, na kłopoty i cierpienia. Na ten wrogi akt komunistów kubańskich powinna oczywiście znaleźć się właściwa odpowiedź rządu amerykańskiego. Jaka to ma być odpowiedź?... W tym miejscu otwierało się pole dla inicjatywy i pomysłowości komentatorów wydarzenia. Otwierały się również (a może przede wszystkim?) możliwości demonstrowania amerykańskiej patriotycznej i zdecydowanej postawy wobec komunizmu w ogóle, a Fidela Castro w szczególności.

Republikanin Barry Goldwater, jak się rzekło, wykazał postawę najbardziej zdecydowaną żądając interwencji militarnej. W ten sposób nieuchronnie przelicytowywał demokratę — prezydenta Johnsona, który oczywiście nie mógł sobie pozwolić na podobne pomysły jako człowiek sprawujący władzę i odpowiedzialny za bezpieczeństwo kraju.

Historia z wodą dla Guantanamo nie jest pierwsza, ani chyba ostatnia w długim cyklu antykubańskich wystąpień w Stanach Zjednoczonych. Jest natomiast ilustracją pewnej ogólnej prawidłowości antykubańskiej propagandy w USA — bardziej szczegółowo: drugiej fazy tej propagandy. W pierwszej fazie — po zwycięstwie rewolucji kubańskiej, po wyrzuceniu amerykańskich monopoli z wyspy i przejściu do budowania socjalistycznych stosunków produkcji, środki masowej propagandy w USA nastawiły się na kształtowanie amerykańskiej opinii o tych wydarzeniach. Ukształtowanie tej opinii, wpojenie w umysły przekonania o zagrożeniu USA przez Kubę, o konieczności zwalczania wszelkimi dostępnymi sposobami rządu Castro stało się podstawą przejścia do drugiej fazy: politycznego wykorzystywania tych opinii w wewnątrzamerykańskich rozgrywkach politycznych.

Po nieudanej inwazji na Kubę w 1961 r., castrowska Kuba staje się coraz potrzebniejszym, coraz częściej stosowanym środkiem politycznym w USA. Prawica amerykańska z obu partii używa Kuby i Castro do uderzenia w administrację Kennedy'ego. Republikanie starają się wykorzystać Kubę jako element walki o likwidację przewagi demokratów uzyskanej w okresie wyborów prezydenckich w 1960 r. Sztandarowa postać prawicy i sił konserwatywnych w partii republikańskiej, senator Goldwater, człowiek który chce kandydować z ramienia tej partii na stanowisko prezydenta w tegorocznych wyborach, konsekwentnie stosuje antykubań-

skie wystąpienia jako podstawę do krytyki rządów przedtem Kennedy'ego a teraz Johnsona.

Zrobił to oczywiście również przy okazji wstrzymania dopływu wody do Guantanamo. Zrobi to pewnie jeszcze nie raz w trakcie kampanii wyborczej.

Fidel Castro przed kilkoma miesiącami w trakcie rozmowy z redaktorem paryskiego tygodnika „L'Express" Jeanem Danielem zażartował, że mógłby wywrzeć wpływ na rezultaty kampanii wyborczej w USA oświadczając na przykład, że... senator Goldwater jest jego przyjacielem. Utrudniłoby to bardzo senatorowi z Arizony używanie antykubańskich chwytów propagandowych jako środka zwalczania obecnej administracji oraz przedstawiania siebie jako najbardziej patriotycznego i zdecydowanego do walki z kubańskim niebezpieczeństwem Amerykanina. Żart Fidela, nawiasem mówiąc, stanowi dobrą ilustrację owej drugiej fazy antykubańskiej propagandy w USA. Jej przejawy jeszcze nieraz będziemy mogli obserwować w toku walki przedwyborczej w USA.

W. MALSKI

KSIĄŻKA O POLSCE

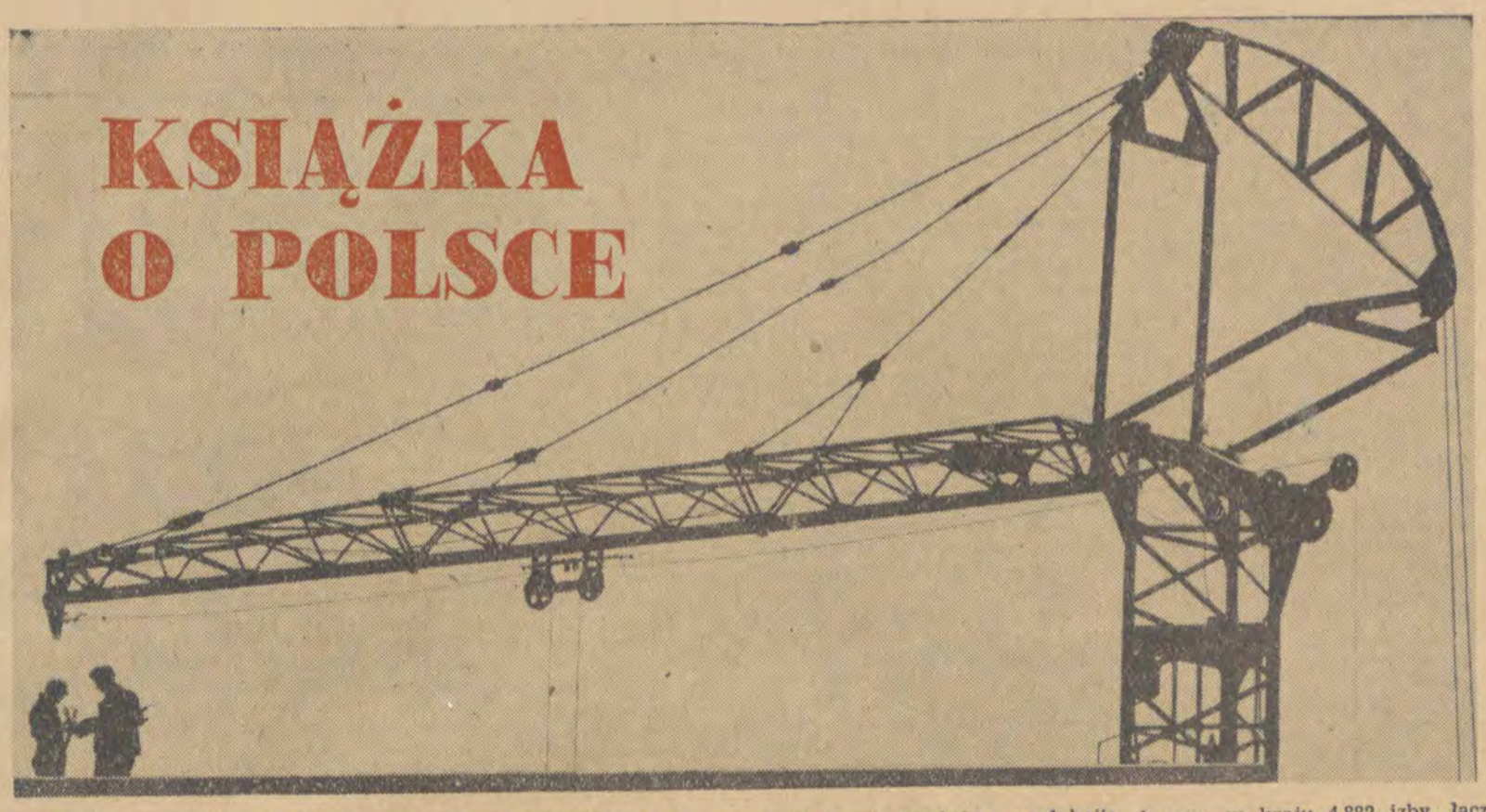

Poprzednią część uwag na temat „Rocznika Statystycznego 1963" zatytułowaliśmy: „Książka o Polakach". Zajęliśmy się w niej bowiem bardziej szczegółowo rozdziałem: „Ludność". W niniejszej przedmiotem rozważań będzie gospodarka narodowa i miejsce Polski w świecie.

Czytelnikom, bo nie będzie już okazji do tego powracać, przypomnijmy na wstępie, że w r. 1963 produkcja przemysłowa naszego kraju przekroczyła w przybliżeniu 9-krotnie poziom przedwojenny. Było to możliwe dzięki powstaniu wielu nowych gałęzi przemysłowych, a m. in. przemysłu okrętowego. Z tego też względu porównywanie z okresem przedwrześniowym jest bardzo utrudnione lub czasem wręcz niemożliwe. Dla orientacji jednak, korzystając z innych źródeł niż „Rocznik Statystyczny", podajmy, że w porównaniu z r. 1938 produkcja energii elektrycznej wzrosła ponad 9-krotnie, węgla kamiennego prawie 4-krotnie, stali surowej ponad 6-krotnie, nawozów azotowych 8-krotnie, tkanin bawełnianych i bawełnopodobnych — 2,5-krotnie i niemal tyle — cukru.

Po tym krótkim przypomnieniu — zacznijmy przerzucać stronice „Rocznika"...

Dynamika produkcji. Znajdujemy tu interesujące liczby, odnoszące się do lat: 1955 i 1962. Wynika z nich, że przy założeniu — rok 1955 = 100, w r. 1962 osiągnęliśmy wskaźnik produkcji przemysłowej na jednego mieszkańca — 171,8. W tym czasie znacznie szybciej niż przemysł spożywczy rozwijał się przemysł środków wytwarzania.

Największą dynamikę produkcji wykazuje we wspomnianym okresie przemysł elektrotechniczny, a następnie środków transportu, najmniejszą z wymienionych w tabeli — przemysł drzewny.

Łódź partycypuje w ogólnej produkcji kraju 5.6 proc., woj. łódzkie — 3,7 proc. Uwaga godna odnotowania: udział Łodzi i województwa maleje. Oznacza to, że w wymienionym okresie szybciej rozwijał się przemysł w innych rejonach kraju (duży wzrost znaczenia przemysłu Warszawy, Krakowa i woj. krakowskiego, woj. rzeszowskiego).

Ziemia Łódzka łącznie z jej metropolią — Łodzią, jest oczywiście centrum przemysłu włókienniczego. Potwierdzają to dane statystyczne. Ta gałąź przemysłu daje w Łodzi 58,9 proc. globalnej produkcji miasta, w województwie — 31,2 proc., Drugim co do wielkości w Łodzi i województwie jest przemysł spożywczy, trzecim: w Łodzi — odzieżowy, w województwie — chemiczny.

Ciekawe refleksje nasuwa struktura zatrudnienia w polskim przemyśle. Procentowo do ogólnej liczby zatrudnionych najwięcej pracowników liczy przemysł spożywczy, a następnie kolejno: włókienniczy, paliwowy, maszynowy i konstrukcji metalowych. A jeszcze przed dwunastu laty sytuacja była zgoła inna — włókniarzy było w kraju najwięcej: 16,9 proc., podczas gdy obecnie: 11,9 proc. W tym czasie jednak znacznie powiększyły stan zatrudnienia przemysły: środków transportu, elektrotechniczny, chemiczny.

Z kolei spróbujmy ustalić nasze miejsce w gospodarce światowej. W tym celu posłużymy się wielkościami produkcji ważniejszych wyrobów przemysłowych na 1 mieszkańca w r. 1962, — u nas i w innych krajach. Zaoszczędzimy jednak Czytelnikom długiej tabeli liczb, operując jedynie materiałem porównawczym, zgromadzonym przez GUS z 23 krajów.

W tej skali porównawczej zajmujemy pod względem produkcji: paliw — 6 miejsce, węgla kamiennego — 2 miejsce, cukru — 4 miejsce.

Paliw i węgla kamiennego produkujemy na głowę ludności niemal tyle, co W. Brytania, energii elektrycznej — nieco poniżej poziomu Włoch, cementu o 10 kg mniej niż ZSRR. Swoisty rekord mamy do zanotowania w produkcji cukru — 49 kg na mieszkańca, podczas gdy Francja — 46 kg, NRD — 43, ZSRR i Węgry — 39. Prawdziwym potentatem cukrowym jest natomiast Australia — 171 kg.

Udział Polski w produkcji światowej ilustrują inne liczby (w nawiasach podajemy analogiczny wskaźnik dla r. 1938): energia elektryczna — 1,3 proc. (0,9), paliwa — 2,4 proc. (2,2), wydobycie węgla kamiennego — 5,4 (3,1), produkcja surówki żelaza — 2,0 (1,1), stali surowej — 2,1 (1,3), statki — 2,0 (0,0), nawozów sztucznych — 2,6 (1,7), cukru — 2,9 (2,2)...

Mówimy często, że Polska jest wielkim placem budowy. Czy określenie to ma potwierdzenie w statystykach?

Jak najpełniejsze. W r. 1962 oddano do użytku 44.463 budynki mieszkalne o łącznej kubaturze ponad 36 mln. m kw. W Łodzi przybyło 631 budynków o 5.834 mieszkaniach, w województwie łódzkim — 3.724 o 7.110 mieszkaniach.

Lepszą orientację da Czytelnikom porównanie ilości mieszkań wybudowanych w r. 1962 na 1.000 ludności: 4,6. Daleko nam wprawdzie do rekordzistów w tej dziedzinie: Związku Radzieckiego (11,6) i Szwajcarii (10,2), ale jeszcze w r. 1955 wskaźnik ten wynosił 3,3.

W dziale: „Budownictwo" warto sięgnąć do jeszcze jednej liczby — ilości izb lekcyjnych oddanych do użytku. W r. 1962 wybudowano w kraju 4.882 izby, łącznie zaś w latach 1961-62 — ponad 9 tys.

W „Roczniku Statystycznym" obszerny jest dział: „Rolnictwo i leśnictwo". Tu ograniczymy się jednak tylko do porównań produkcji niektórych artykułów rolnych w przeliczeniu na 1 mieszkańca w r. 1938 i 1962. Zboża rolnictwo nasze wyprodukowało o 55 kg więcej, ziemniaków o 251 kg, buraków cukrowych o 240 kg, mięsa o 36,2 kg, mleka o 124 l i jaj o 209 sztuk.

Ile spożywamy? Czy odżywiamy się racjonalnie?

Pewien pogląd na ten temat można sobie wyrobić na podstawie rozdziału: „Spożycie", „Przeglądu międzynarodowego".

„Menu" statystycznego Polaka w r. 1962 przedstawiało się następująco: 148 kg zbóż (w przeliczeniu na mąkę), 221 kg ziemniaków, 46 kg mięsa, 14 kg tłuszczy, 8 kg jaj, 4 kg ryb i 30 kg cukru.

Z tabeli wynika, że przetworów mącznych więcej od nas jedzą jedynie Grecy i Jugosłowianie, pod względem natomiast spożycia ziemniaków... nie mamy konkurenta. (Dla przykładu: Amerykanin zadowala się 47 kg, Włoch — 55, Francuz — 109, Belg — 139 kg).

Spożycie mięsa kształtuje się na poziomie mniej więcej Węgier i nieco poniżej Szwecji, ryb natomiast odbiega od uwidocznionych w tabeli danych z wielu krajów

* * *

Z liczbowej encyklopedii wiedzy o Polsce, jaką jest „Rocznik Statystyczny 1963", wykorzystaliśmy tylko małą garść danych. Każda z 584 stron „Rocznika" dostarcza bogatych informacji o Polsce i Polakach. Naprawdę warto do nich sięgnąć, chociażby dlatego, by w jubileuszowym roku Polski Ludowej zobaczyć, gdzie się znajdujemy...

WIESŁAW BEK

ŁODZIANIE PODRÓŻUJĄ

BRONISŁAW PAWŁOWSKI

— Jest Pan jednym z niewielu łodzian, ba, zaryzykuję twierdzenie — jednym z niewielu Polaków, którym udało się stanąć na „wyspie płonącej".

— Nie tylko stanąć, ale i cały tydzień mieszkać.

— Kto zaprosił pana na Cypr?

— O, to cała, skomplikowana historia. Mój wujek, archeolog, Polak mieszkający od wielu lat w Stanach Zjednoczonych, wszystkie swoje urlopy spędza w Grecji. Prowadzimy z wujem stałą korespondencję (te same zainteresowania: archeologia, oceanografia) i pewnego razu wyznałem w liście, że do szczęścia potrzebne mi tylko wakacje...

— W Grecji?

— No, napisałem: wakacje z wujem.

— Wszystko się zgadza. Tylko, że Grecja to jeszcze nie Cypr.

— Cypr był później, już pod koniec wakacji. I to jest właśnie owa skomplikowana sprawa. Pewnego razu w nocnym lokalu wuj poznał śliczną dziewczynę, Szwajcarkę. Wyjeżdżała nazajutrz do ojca lekarza, który w cypryjskim miasteczku Limassol od dłuższego czasu kurował swojego przyjaciela, jakąś osobę duchowną.

— Nazajutrz wyjechał również wuj?

— Za dwa dni wyjechaliśmy razem. Do Limassol, naturalnie.

— Wszystko wskazuje na to, że powinniśmy w tym miejscu przejść do spraw natury historyczno-politycznej. W ostatnim czasie wszystkie gazety na świecie pełne są informacji o Cyprze, „wyspie płonącej" — jak napisał pewien francuski dziennikarz. Pan zdaje się przestudiował dokładnie historię Cypru?

— To była pasjonująca lektura, chociaż czasem traciłem już orientację, nie mogłem zapamiętać kto komu wyspę podarował, kto komu i za ile sprzedał itd. Od trzech i pół tysiąca lat mieszkają na Cyprze Grecy, ale rządy sprawowali kolejno: Fenicjanie, Asyryjczycy, Egipcjanie, Persowie, Macedończycy, Rzymianie, cesarze Bizancjum, Arabowie, krzyżowcy, francuska dynastia de Lusignan, Wenecjanie, Turcy i Anglicy. To brzmi jak ironia, ale bogini miłości — Afrodyta wyłoniła się z piany morskiej, nie gdzie indziej jak właśnie u brzegów wyspy Cypr.

— Przed kilku laty słynne było publiczne wołanie Alberta Camusa, w obronie młodego studenta, którego Brytyjczycy skazali na karę śmierci za rzekome „agitowanie przeciw rządom Imperium na Cyprze".

— Tego chłopaka — Michała Karaolista — mimo protestów z całego świata, Brytyjczycy powiesili.

— Cypr ciągle walczy, w ostatnim miesiącu gazety znów donoszą o krwawych wydarzeniach. Czy myśli Pan, czytając te wiadomości, o dniach spędzonych w Limassol?

— Tak intensywnie, że czasem mam ochotę krzyknąć: „Afrodyto! Wróć na brzeg! Wyspa płonie!"

Rozmawiała:
H. B.

OSTATNIE EPIZODY

dalszy ciąg ze str. 1

Ostatnia akcja, której podjęła się Liga, wiązała się z napływem nowej fali polskich emigrantów po klęsce powstania. Uchodźcy ci znajdowali się bez środków do życia, nie znali języka kraju, do którego przybyli i najczęściej byli bez odpowiedniego zawodu, który umożliwiłby im rozpoczęcie pracy i normalnej egzystencji. Za interwencja polskich działaczy demokratycznych komitet Ligi odbył dwukrotnie zebrania w kwietniu 1865 roku. Na zebranie w dniu 11 kwietnia przybyli Antoni Żabicki i Konstanty Bobczyński (b. uczestnik rewolucji węgierskiej). Ten ostatni zaapelował, by Liga użyła swych wpływów dla zebrania środków pieniężnych na cele pomocy dla polskich uchodźców, a Żabicki wniósł projekt ułożenia odpowiedniego manifestu do brytyjskiej publiczności. Rozpatrywano też sprawę pomocy dla założonej w Paryżu szkoły wojskowo-przygotowawczej, a jej założyciel Zabielski wziął udział w zebraniu komitetu Ligi. Utworzono ostatecznie specjalny fundusz, a Żabickiemu powierzono sekretariat tej akcji. Akcja pomocy miała objąć nie tylko uchodźców polskich przybyłych do Anglii, lecz i z innych krajów, w szczególności Francji, gdzie na 1800 osób około 1200 nie pobierało ani żołdu od rządu ani wsparcia od jakiegokolwiek komitetu. Dla uchodźców w Anglii Liga miała starać się o znalezienie zatrudnienia, względnie o ich zawodowe przeszkolenie oraz wyuczenie ich języka angielskiego, tak by ci jak najszybciej zdobyli samodzielną egzystencję. Natomiast Liga odrzuciła wszelką myśl o szukaniu wsparcia u rządu, gdyż nie tylko demoralizuje to biorących, ale nadto odstręcza lud angielski od zajęcia się ich losem.

Tymczasem dnia 24 marca członek Izby Niższej sir Harry Verney złożył memoriał w sprawie polskich uchodźców premierowi Anglii Lordowi Palmerstonowi (który dwa lata temu przyjmował opisaną przez nas poprzednio delegację robotniczą). Premier w odpowiedzi zapraszał Polaków do złożenia spisu osób żyjących w Anglii w niedostatku i potrzebujących zasiłku rządowego. W kwietniu list do ówczesnego kanclerza skarbu Gladstone'a i do premiera Palmerstona wysłał generał Zamoyski. Urząd Skarbu w odpowiedzi zawiadamiał, że ogranicza zasiłki tylko do uchodźców ostatniego powstania, którzy przybyli do Anglii przed datą owego listu (tzn. przed 16 czerwca) i nie zdołali znaleźć zatrudnienia albo postradali takowe przez chorobę lub podeszły wiek.

W tej sytuacji Liga wystąpiła z nową inicjatywą, przekreślającą właściwie jej postanowienie, by nie zwracać się do rządu z wezwaniem pomocy. Edmund Beales i markiz Townshend z ramienia Ligi oraz Żabicki i Bobczyński jako przedstawiciele Polaków zjawili się u Gladstone'a wręczając mu odpowiedni memoriał. Do delegacji tej przyłączył się generał Zamoyski. W memoriale zwracano uwagę, że odpowiedź Palmerstona Verneyowi grozi wyschnięciem źródła pomocy ze strony społeczeństwa angielskiego, które obecnie przekonane (fałszywie) o pomocy rządowej dla wszystkich uchodźców przestanie troszczyć się o te sprawy. Gladstone w odpowiedzi swej obiecał wziąć memoriał „pod najgłębszą rozwagę", lecz wysunął szereg zastrzeżeń, sprecyzowanych później w oficjalnej odpowiedzi pisemnej. Odpowiedź ta, która nadeszła na ręce markiza Townshenda była odmowna. Urząd Skarbu wyrażał głęboki żal z powodu tak ciężkiej sytuacji Polaków, lecz jednocześnie stwierdził, że udzielanie pomocy cudzoziemcom z państwowych funduszów byłoby sprzeczne z praktyką i z obyczajami Anglii. Nawet Anglicy, którzy popadli w nędzę, nie mogli korzystać z państwowych pieniędzy, lecz korzystali z dobroczynności, dobrowolnego ubezpieczenia lub z pomocy władz samorządowych, z której mogą też korzystać i cudzoziemcy. Tylko wyjątkowo — jak i dawniej — będą przyznawane pensje rządowe.

Tak niefortunnie zakończyła się ostatnia akcja Narodowej Ligi na rzecz Polaków.

W sierpniu 1865 roku działalność Ligi została formalnie zawieszona, a faktycznie Narodowa Liga na rzecz Niepodległości Polski dobiegała końca swej historii. Gdy w dniu 22 stycznia 1866 roku odbywał się obchód rocznicy powstania styczniowego byli działacze Ligi nadesłali listy, które na zgromadzeniu odczytano. We wszystkich listach brzmiały nuty pocieszenia i zachęty dla Polaków. Anglia – pisał Beales – odmówiwszy połączenia się z Francją w interwencji na rzecz polskiego powstania – sprzeniewierzyła się zarówno zdrowemu rozsadkowi jak i poczuciu obowiązku. Lecz Polacy muszą przede wszystkim polegać na sobie w walce o swe wyzwolenie. Beales w liście swym określał nieszczęście narodu polskiego „tak licznego i o wielkich zaletach rozumu i serca" i o tak starej i sławnej historii – „jednym z najbardziej tajemniczych zrządzeń Opatrzności". B. sekretarz Ligi, robotnik J. R. Taylor dla pocieszenia Polaków cytował w swym liście następujący passus z Biblii: „Zemsta jest moja – mówi Pan – i ja odpłacę". John Richardson zapewniał natomiast Polaków: „Modlę się by Bóg zesłał Mojżesza dla biednej Polski. Historia wyjścia Izraelitów jest lekcją dla tyranów wszelkiego rodzaju". Widocznie czołowych działaczy propolskich ogarnął po klęsce powstania pewien nastrój mistycyzmu i refleksji natury religijnej. Lecz podkreślić raz jeszcze należy, że poczucie zawodu nie popchnęło ich w kierunku bierności politycznej, a Beales jak i inni byli działacze Ligi tkwili po uszy w walce politycznej na kilku frontach, choć nie było już frontu polskiego.

Podając Czytelnikowi te dane chcemy nie tylko odkryć ciekawą kartę z historii międzynarodowych powiązań polskiego powstania, lecz także uczcić ludzi, których zapał i serce nie powinny ulec zapomnieniu.

HENRYK KATZ

1) „Narodowa" = National oznacza w tym kontekście „Ogólno-krajowa".

okulary po dziadku

Feliks Bąbol

Twój świat jest inny od mojego, bo ty masz w swoich okularach plus trzy dioptrie, ja znów jestem innego rodzaju krótkowidzem. Krótkowidzem, któremu się wydaje, że jest otoczony ludźmi niechętnymi i nieżyczliwymi.

I ty więc, i ja powinniśmy pójść do okulisty, który by nam pomógł. Albowiem zagadnienie, które tutaj chcemy poruszyć, jest bardzo ważne. Jak ważne — niech świadczy przykład badań, jakie przeprowadzono ostatnio w Niemczech: u pewnej grupy pracowników w fabryce, których zaopatrzono w okulary, a których — mimo potrzeby — nie nosili oni przedtem, wydajność pracy nagle skoczyła o całe 17 proc.! Bo dzięki okularom nagle zobaczyli wyraźniej przedmiot swojej codziennej pracy, dzięki okularom zmalały do minimum błędy i niedopatrzenia w produkcji.

Warto by i w Łodzi przeprowadzić podobne badania. I to w różnych przemysłach — osobno we włóknie, osobno w przemyśle metalowym czy chemicznym. Być może, okazałoby się, że zachodzi potrzeba obdarzenia wielu tysięcy ludzi szkłami.

☆

Ale czy wizyta u okulisty jest sprawą łatwą? Bo okulistów mamy niewielu, w miastach wojewódzkich przypada 1 lekarz tej specjalności na 13 tys. mieszkańców, a poza tymi miastami jest wręcz fatalnie. W woj. łódzkim np. 1 okulista przypada na 102 tys. ludności, warszawskim — 169 tys., katowickim — 57 tys., gdańskim — 64 tys., ale białostockim... 495 tys. W naszym mieście pracuje 38 okulistów, w naszym województwie — 15, nie dziwmy się więc, że — jak nam donoszą fachowcy z „Fotooptyki" mający stałe kontakty z tzw. terenem — w wielu wsiach okulary nosi się z dziadka na wnuka, niezależnie od faktu, że np. dziadek był dalekowidzem i nosił szkła z dioptriami dodatnimi, a wnukowi dolega krótkowzroczność i przydałyby mu się szkła z dioptriami ujemnymi. Nie dziwmy się, że w tej biedzie z okulistami i warsztatami optycznymi, w których szkła się dopasowuje, dobiera, dochodzi czasem i do absurdu: sąsiad pożycza receptę okulisty od

sąsiada i w ten sposób załatwia jeden z głównych problemów swojego kontaktu ze światem.

Dlatego wierzmy fachowcom z naszej oftalmiki znającym stosunki i prawdę o ludzkich oczach, jeśli mówią, że obecna sytuacja — gdy receptę na szkła może wypisać tylko lekarz specjalista — hamuje kulturę wsi. Blisko 3 miliony ludności wiejskiej powinno nosić szkła dopasowane do indywidualnych warunków pracy oczu, a nosi chyba dziesiąta część tego.

Jak doszliśmy do tego, że co piąty człowiek powinien nosić szkła? Po prostu. Są to ludzie, u których występują wady w tzw. refrakcji, czyli odchylenia od normy w załamywaniu się światła w oku (jest ich 20 proc., ale tylko połowa powinna nosić szkła, u połowy bowiem odchylenia są niewielkie) oraz ci wszyscy, u których z wiekiem (mniej więcej po 45 roku życia) na skutek zwapnienia soczewka oka zatraca powoli swą elastyczność w pracy, ujawniając tzw. odchylenia w akomodacji. Te dwie grupy ludzi stanowią w naszym kraju blisko 6-milionową armię potencjalnych pacjentów lekarzy specjalistów, w Łodzi zaś jest to blisko 150-tysięczna rzesza krótkowidzów, nadwzrocznych (tzw. dalekowidzów), astygmatyków cierpiących na tzw. niezborność wynikającą ze złej budowy oka, ludzi z wadami refrakcji i innych naszych bliźnich, którzy powinni nosić szkła.

☆

Ale zajmijmy się sytuacją przeciętnego pacjenta. U specjalisty w zasadzie bez przerwy tłok, gdy zaś już pacjent do niego dobrnie, okazuje się często, że właściwie ten czas stracony na wizytę u lekarza stracony był niepotrzebnie. Bo tylko 25 pacjentów na 100 przychodzi do okulisty z chorobami oczu, tylko u 25 na 100 lekarz stwierdza potrzebę leczenia. Reszta, a więc całe 75 proc. pacjentów wychodzi od okulistów z receptami na okulary. Więc coraz częściej słychać opinie zwracające uwagę na paradoks: miliony ludzi powinno mieć możność dopasowania, dobrania sobie szkieł, które pomogłyby im w pracy i w życiu, ale pracuje i żyje bez szkieł, bo u okulisty albo za drogo, albo go nie ma w promieniu 50 km (w Białostockiem jeden okulista na prawie pół miliona mieszkańców! w Łódzkiem — jeden na 100 tys.!). Dzieje się tak, bo w naszym kraju — w przeciwieństwie do wielu krajów świata — nie wolno dobrać szkieł bez recepty — w warsztacie optycznym.

A jeżeli nie wolno — odbiło się to i na ilości optyków i zakładów optycznych: jeden tego typu zakład przypada u nas na 93 tys. mieszkańców, gdy w NRD 1 na 16.600, w Anglii — 1 na 7.000 mieszkańców, a w ZSRR okulary wydaje się w wielu aptekach. Ponadto w Polsce na 321 warsztatów optycznych aż 184 stanowią placówki rzemieślnicze i spółdzielcze, w niektórych miastach więc trudności z otrzymaniem okularów są szczególnie duże, gdyż w miastach tych wydziały zdrowia nie mają umów ze spółdzielniami ani optykami prywatnymi, wobec czego wszyscy ubezpieczeni czekają na swą kolejkę w jednej tylko „Fotooptyce". Tak też jest w Łodzi, która jest znacznie większym ośrodkiem niż Kraków, Poznań czy Katowice, gdzie dla poprawienia sytuacji pacjentów wspomniane umowy pozawierano.

Gdy piszę te słowa, widzę pewną pracownię optyczną w Lipsku — niedaleko terenów targowych — do której można wejść wprost z ulicy i gdzie, nie pytając ani o nazwisko ani o receptę, dopasują ci według ustalonych stawek odpowiednie do twoich oczu szkła, w odpowiedniej do twego smaku estetycznego i możliwości finansowych oprawie.

☆

W Łodzi badanie ludności przez okulistów postępuje najwolniej. W latach 1957—62 np. zbadano u nas tylko 17 proc. mieszkańców (w województwie zaś tylko 7 proc.), podczas gdy w Krakowie — 27 proc., Poznaniu — 28 proc., a w Warszawie — 28 proc. Bo okulistów mamy zbyt mało — jednego na 19 tys. ludności. Dla usprawiedliwienia Łódź ma chyba tylko jedno: w całym kraju liczba ludności rośnie szybciej, niż liczba lekarzy specjalistów, szybciej też rośnie zapotrzebowanie na pomoc lekarza-okulisty, niż ilość przychodni lekarskich, znacznie szybciej — i to jest źródłem cytowanej opinii, że „recepty hamują kulturę na wsi" — rośnie też zapotrzebowanie ludności na okulary, niż możliwości jego zaspokojenia. Ale kłopoty pacjenta, któremu udało się zdobyć receptę, dopiero się zaczynają.

Bo trzeba wiedzieć, że z receptą w kieszeni można czekać na okulary nawet i... rok. Można czekać tylko 3 dni, ale pacjentów, na których szkła czekałyby już w sklepie czy u optyka spółdzielczo-prywatnego, jest niewielu. Tylko bowiem 25 proc. wszystkich recept opiewa na szkła tzw. podstawowe (dla starczo-wzrocznych, nadwzrocznych i krótkowzrocznych), tylko 12 proc. stanowią szkła dla astygmatyków (wspomniana już niezborność oka wynika często z przebytego szoku nerwowego) — reszta to klienci, których tak szybko załatwić nie sposób. Bo są to ludzie czekający na szkła albo rzadko powtarzalne, albo zupełnie niepowtarzalne. Wymagają one specjalnych zamówień w fabryce, najczęściej z importu, a nasi dostawcy zagraniczni wymagają, aby zamówienia nadchodziły z odpowiednim wyprzedzeniem, inaczej zamówienia te nie wchodzą do

planów produkcji. Więc może to trwać i rok.

Z krajowym dostawcą szkieł znowu inny kłopot. Producent (w Katowicach) podlega Zjednoczeniu, dla którego produkcja szkieł okularowych znaczy tyle, co mucha, dla którego jest to marginesem, nie dziwmy się więc, że w tej produkcji na kraj wiele notuje się usterek i błędów, tym bardziej że produkcja na eksport zabiera katowickiej fabryce zbyt wiele czasu i energii. Zwłaszcza w sytuacji, że na 6 szkieł wyprodukowanych w Katowicach na eksport przez kontrolę techniczną jakości przechodzi przeciętnie... jedno!

☆

Może jednak wypadałoby nieco usprawiedliwić i producenta? Przecież to się tylko tak mówi, że musi on dostarczyć okulary powiedzmy dla 100 tys. ludzi. W

rzeczywistości są to szkła wybrane z... miliardów różnych kombinacji, więc w praktyce zdolności asortymentowe producenta muszą obejmować i te miliardy! Inż. Bojanowski z łódzkiej „Fotooptyki" z ołówkiem w ręku dochodził do tych astronomicznych liczb: szkieł dwuogniskowych jest 23 mln różnych kombinacji, sferyczno-cylindryczno-pryzmatycznych — 48 mln kombinacji, a z wszystkimi ich wariantami — 380 mln kombinacji, dwuogniskowych sferyczno-pryzmatycznych — 1 mld 156 mln kombinacji, a wszystkich szkieł w ogóle, którymi powinna dysponować optyka współczesna, we wszystkich wariantach, które mogą być człowiekowi potrzebne, bo takie są możliwości odchyleń ludzkiego oka od normy przepisanej przez naturę — drobiazg: 21 mld 500 mln!

Ale próba wytłumaczenia producenta szkieł okularowych nie zwalnia nas od postawienia wniosku generalnego: jeśli ludziom mają nie puchnąć oczy już po paru linijkach tekstu w książce czy w gazecie (a puchną, bo nie używają szkieł), jeśli chcemy pomóc ludziom w ich pracy zawodowej (wyraźna widoczność przedmiotu działania to podstawa wydajności pracy), jeśli chcemy odciążyć okulistów od tłumów ludzi, którzy okupują ich poczekalnie niepotrzebnie, nie chodzi im bowiem o leczenie, a tylko o przepisanie odpowiednich szkieł, jeśli chcemy, aby i wieś szybciej skorzystała z dobrodziejstw czytelnictwa i oświaty — niezbędne jest realne spojrzenie na rzeczywistość. Z tego spojrzenia zaś wypłynie konieczność skrócenia drogi po okulary. Skróci ją szybszy rozwój pracowni optycznych w miastach i na wsi i możliwość dobrania sobie szkieł na miejscu — u optyka.

URBANKIEWICZ JERZY

Brzydka Nazwa „Secesja"

Za granicą nazwano ten styl: „Jugendstil" — styl młodości. Albo: „le style moderne" — styl nowoczesny. A więc ktoś widział w nim piękno młodości i nie grymasił, że to zaledwie secesja.

W 1901 roku przychodzili łodzianie na Piotrkowską 43, aby popatrzeć, jak się buduje pierwszy w tym mieście dom w stylu secesji. Trudno im było zrozumieć, czym się różni ta czynszówka od każdej innej. Aby zaś różnicę tę dostrzegli łodzianie, zadzierający głowy 60 lat później — oto kilka słów o secesji w ogóle.

Powstała ona jako wyraz buntu przeciwko eklektyzmowi, jaki w dziedzinie sztuki charakteryzował wiek XIX. Sztuka tamtego wieku to jakby — używając słownictwa współczesnego — szaber z innych epok. Zarówno w architekturze, jak w urządzeniu wnętrz gotyckie ostre łuki kojarzono z kolumnami greckimi, barokowe aniołki z formami romańskimi. Zresztą — przejdźcie się po Piotrkowskiej. Co drugi, trzeci dom oblepiony jest pilastrami o jońskich głowicach, a obok — elementy zupełnie niegreckiej sztuki. Co więcej, w ulepianiu tych cudności sprzed wieków wcale nie stosowano przedwiecznych surowców. Tam, gdzie w gotyku była rzeźba w kamieniu — pojawiły się podobne kształty, ale zrobione z gipsu, na szkielecie trzcinowym. Marmur zastąpiły płaszczyzny malowane olejno „pod marmur". Odlewy z cynku poczęły imitować kute żelazo, a mosiądz udawał, że jest złotem. Fałsz, zakłamanie i nonsens tkwiły również w tym, że budynki i wnętrza obwieszone były figurami z innych epok, mało dla kogo zrozumiałymi. To wiek XIX wymyślił stosowane po dziś dzień fałszerstwo tak zwanego fornieru. Ta cecha przejawiała się też w dziedzinie ubrań. Panowie świecili białymi gorsami koszul, choć były to tylko tak zwane półkoszulki, przypinane do niewidocznych koszul. Z rękawów wystawały im śnieżnobiałe, przypinane mankiety, nie mające nic wspólnego z czystością koszuli. To właśnie wtedy pojawiły się krawaty na gumkach, będące fałszerstwem węzła i sztuczna biżuteria, a sztuczne wypukłości uzupełniały braki w urodzie pań.

Mieszkanie z tamtych czasów było mroczne i zagracone. Meble, mebelki, figurki, na ścianach obrazy w ciężkich ramach imitujących złoto, na oknach firanki i zasłony, sztuczne kwiaty w pseudostylowych wazonach.

To musiało doprowadzić do mdłości i do protestu. I oto pod koniec XIX wieku pojawiły się nowe prądy, nie bardzo odległe od tych, którym my dziś hołdujemy. Pojawiło się pragnienie światła, słońca, prawdy. Architekci ograniczyli ilość ozdób a poczęli projektować tarasy. Doceniono wartość zieleni. Opalenizna i sport — a więc dążność do słońca i zdrowia wywarły swój wpływ na mieszkania, będące dotąd antykwarniami i graciarniami.

Dążność ta zaznaczyła się również w dziedzinie sztuki i budownictwa, gdzie także odstąpiono (secessio) od XIX-wiecznych wzorów.

A więc zaprzestano budowy mostów oblepionych basztami i obwieszonych ornamentami. Most powinien służyć do przejeżdżania przez rzekę. Użyto żelazo-betonu. Znany był od roku 1847, ale nie stosowano go prawie wcale, bo się nie nadawał do produkcji aniołków i pseudostylowych figlasów. Do głosu doszło żelazo. Wieża Eiffla zbudowana w r. 1889 jest wyrazem tych dążności: prostota i użyteczność. Mieszkanie urządzone przez jednego z twórców secesji, van de Velde'a tchnie świeżością — ma dużo światła — a sprzęty są tak pomyślane, by służyć temu, do czego zostały stworzone. Owszem, są na nich ornamenty, ale ornament wraz ze sprzętem stanowi całość, jest wkomponowany w sprzęt, a nie do niego przyczepiony. Sprzęt zaś stanowi znów nieodłączną część całości, jaką jest pokój.

Jeśli wcześniejsze style troszczyły się o kościoły i pałace, to artyści, którzy odstąpili od manii naśladowania tamtych stylów, z równą powagą projektują wielki gmach jak krzesło, czy filiżankę. Secesja pierwsza pokusiła się o zerwanie z zasadą, że sztuka istnieje dla możnych.

Zapewne — daleko secesji do pojęcia kultury masowej. Ale zbudowana w 1909 roku Turbinenhalle — hala turbin firmy AEG w Berlinie ma prawie wszystkie cechy szklanej hali Fabryki Maszyn Włókienniczych przy ul. Żeromskiego w Łodzi. Jeżeli więc robotnicy uzyskali dzięki secesji choćby trochę przestrzeni, powietrza i światła przy pracy — to już jest coś. Zresztą doszło do tego zupełnie nie przypadkowo. Sam van de Velde był socjalistą, z secesjonistów angielskich William Morris był również socjalistą, a znalazłoby się ich więcej.

Jeśli chodzi o cechy secesji, to styl ten wyrzekł się linii prostej, kąta prostego i koła. Szukano innych linii, a znaleziono je w przyrodzie. Stąd w zdobnictwie secesyjnym (u nas — Wyspiański) — liście kasztana, płatki modraków, osty, jaszczurki, dzikie gęsi w locie.

I teraz, Czytelniku, weź ten numer „Odgłosów" pod pachę i biegnij na Piotrkowską 43, pod pierwszy w Łodzi dom secesyjny. Bramę otaczają konary i liście kasztana. A na płaszczyznach podokiennych — typowa secesyjna ornamentyka, wystylizowane linie, nieco tylko przypominające formę roślinną. Ten sam motyw dominuje na fasadzie niskiego domu przy ul. Piotrkowskiej pomiędzy numerami 100 i 102. Jest to chyba przykład najładniejszej secesji w Łodzi. Jedyny to bowiem dom, którego projektant starał się uczynić ciekawszą nawet linię dachu, nie mówiąc już o niezwykłej linii okna na I piętrze, czy o wygięciach żelaza w balustradach (prostokątne okienka na II piętrze i witryny na parterze są oczywiście wynikiem późniejszych przeróbek).

Oto dalsze przykłady dość czystej secesji w Łodzi: pałacyk przy ul. Wólczańskiej 31/33 oraz domy przy ul. Sienkiewicza 6 i Al. Kościuszki 93. Zwłaszcza ten ostatni ma wiele cech secesji w kształcie bramy i okien, w uformowaniu krat i balkonów, w ornamentyce i rozwiązaniu wsporników pod balkonami i okapem.

Interesująca i niebrzydka jest ta Łódź. Jeśli jej się dobrze przyjrzeć.

Napisz co myślisz

O KSIĄŻKACH WYDAWNICTWA ŁÓDZKIEGO, O REPERTUARZE TEATRÓW ŁÓDZKICH O „ODGŁOSACH"

a list Twój weźmie udział w losowaniu nagród książkowych. Najcelniejsze wypowiedzi opublikujemy na łamach Twego tygodnika.

„ODGŁOSY"

Weselne basy

TADEUSZ NOWAK

dalszy ciąg ze str. 1

Gestapowiec i muzykanci doszli do olszyny. Cyganie grali nieustannie. Była to piosenka, jaką się śpiewa na weselu przy wykupywaniu młodziutkiej mężatki z rąk staruszek. Stali tuż przed olszyną. W jej cieniu. Odwróceni do nas plecami. Nie widzieliśmy ich twarzy. Nie widzieliśmy nawet ich karków. Było jeszcze zbyt porannie. Cień olszyny był liściasty. Ich karki były ciemne. Nie świeciły. Zlewały się z cieniem. Czasem tylko nad głową skrzypka wyskakiwał zrobiony z białego włosia smyczek, z lewego boku basisty łyskał takoż biały, ale większy smyk, a w rozrzuconych na boki rękach bębnisty czerwieniły się zaszyte w sukno drewniane pałeczki. Klarnetu ani kornetu nie było widać. Z tego powodu klarnecista i kornecista byli dla nas mniej widoczni. Zlewali się niemal z olszyną i z jej cieniem.

Gestapowiec wyszedł poza muzykantów. Szedł do nich po granicy światła i cienia. Szedł zwrócony do nas bokiem. Błyszczały jego guziki i połowa oświetlonej twarzy. W jego ręku migotał pistolet. Wszedł w cień.

Zbliżył się do bębnisty. Podniósł rękę. Usłyszałem trzask w głębi głowy. Zobaczyłem cofającego się krok do tyłu gestapowca. Dopiero wtedy znikły czerwone pałeczki po bokach bębnisty. On sam przechylił się do tyłu. Upadł na ugięte w kolanach nogi. Upadł głową w światło. Na nim świeciła biała skóra bębna.

Zdawało mi się, że kapela przestała grać. Ale to tylko czerwone pałeczki wypadły z niej. Cyganie grali nadal. Wtedy gestapowiec podszedł do klarnecisty. Podniósł dłoń, uskoczył do tyłu i prawie równocześnie strzelił do kornecisty. Oni również upadli do tyłu. Dopiero teraz zobaczyłem ich padające w światło głowy. Nie widziałem natomiast ich bosych nóg. Nie wiem dlaczego, ale wydawało mi się, że na tych niewidocznych dla mnie bosych nogach, klarnecista i kornecista odeszli przed chwilą na wesele. Nie przeszkadzały mi w tym mniemaniu ani ich widoczne teraz wyraziście głowy, ani instrumenty leżące obok. W mniemaniu tym utwierdzała mnie ta nikła muzyka dochodząca ze skrzypiec i z basów. Bo ci dwaj Cyganie grali nadal. Zwróceni twarzami do olszyny, a raczej do tej młodziutkiej mężatki z obciętymi warkoczami, do tej Cyganichy w czepcu, w szerokich spódnicach — grali nieustannie.

I grali jeszcze wtedy, gdy już leżeli twarzą w słońcu, a na nich leżały te wąziutkie skrzypce i te szerokie basy. I jeszcze wtedy grali, gdy ich zakopywano pod olszynę, a młodziutki gestapowiec siedział na zwiniętym w rulon płaszczu i odczytywał z nutowego zeszytu weselne przyśpiewki. I nawet wtedy grali, gdy ich już zakopano, przysypano piaskiem i gaszonym wapnem, a w ich dół wbito basy.

Widocznie młodziutkiemu gestapowcowi coś się nie zgadzało w nutowym zeszycie, bo podszedł do wkopanych w dół basów i na baranich strunach sprawdzał oczepinową piosenkę.

2.

Od kilku dni wypasaliśmy konie na podleśnych łąkach. Siedzieliśmy tuż pod lasem w wysokiej trawie. Nie była to już nawet trawa, a wyschnięte na pniu siano. Za nami stał las. Jego zapach — smoła, terpentyna, ocet — mieszał się z zapachem zgonionego do białego potu zwierzęcia. Ten podwójny zapach rozlewał się po łąkach zabijając ich mysi odór. Nad łąkami i nad lasem stała pogoda. Pełno w niej było nitek babiego lata, topionej żywicy, chrobotu klonowych liści i laskowych orzechów.

Dłużyło mi się tego popołudnia na łąkach. Słońce zarastane coraz gęściej przez las, zapadało w sen, jak ogromny zwierz przekłuwany w ucieczce liściastymi oszczepami. Poprzednich dni o tej porze rozmawialiśmy z Frankiem w najlepsze. A teraz leżał wsparty na łokciach. Spoglądał zza świerkowego chojara na rozciągniętą przed nami w jesiennym złocie wieś. Od czasu do czasu podnosił się na łokciu, obcierając rękawem twarz. Wtedy zdmuchiwałem z jego krótko przyciętych włosów małego pajączka wiszącego na nitce babiego lata.

— Odtąd nie ma we mnie anioła. Odszedł razem z tymi Cyganami leżącymi pod olszyną. A może go wcale nie było we mnie. Z tymi aniołami to jak z kamieniami. Póki suche, wystarczy w nie uderzyć kawałkiem żelaza, a sypią całym snopkiem iskier. Natomiast wyjęte z wody trzeba długo suszyć na słońcu zanim nabiorą zapachu miki i saletry. Ale jeśli nie mam już anioła, powinien być we mnie mały szczep wiosenny. Nocą, gdy leżę na sianie, czuję jak we mnie to maleńkie drzewko porusza listkami. I widzę na tym drzewku świecące owoce. A na samym szczycie zielonego dzięcioła. Siedzi nieruchomo. Siedzi cały czas. Rano kuje dziobem mój mózg.

Strąciłem z ramienia klonowy liść. Franek spojrzał na mnie, na spadający w trawę liść i znowu na mnie.

— Ale w tobie jest ten anioł. Wyziera z ciebie jak z miodowej dziupli. Trzęsie się o ciebie. Boi się, żebym ci nie przyprowadził dziewczyny. Skrzydełkiem cię przed nią zasłania. A dziewczyna wypłoszyłaby z ciebie tego skrzydlatego stwora. Starłaby z ciebie ten gryczany puch. Czemu tak patrzysz? Odwróć się. No odwróć się, panienko skrzydlata. Aniołowie we mnie płoną, aniołowie, aniołowie.

To już nie był Franek. Raczej ta drapieżna roślina, przypominająca zwierzę, rosnąca najchętniej na śniętej rybie, na rozkładającym się ptaku.

— Głupi staruch. Po rękach go całują. Kolędę mu dają. Wielebnym tytułują. Wnet by go w złocone oprawili ramy i jak świętego po polach nosili, żeby tylko deszcz spadł, żeby od iskry nie spłonął dom i zboża. A on ich nawet nie widzi. A gdy go po rękach całują, do plebanii wchodzi, ręce mydłem myje, sutannę szczotkuje, perfumami skrapia. Pamiętasz te stare obrazy w kościele? Wisiały między witrażami. Malował je odpustowy dziad. Na jednym z nich była moja matka. Jako Magdalena. Przyszedł do nas kiedyś ten dziad. O juzynę prosił. Wyniosła mu matka glonek chleba, garnuszek kwaśnego mleka, kawałek sera. Stare buty mu dała. Przenocowała. I dziad się zadomowił. Usiadł rano pod sadem. Do jabłonki przybił deszczułkę. Malować na niej począł. Przychodziłem popatrzeć. Przychodziła matka. Dziwowała się, że ta święta taka do niej podobna. Śmiał się dziad. Powiadał, że jak na ziemi świętego nie znajdzie, próżno szukać w głowie, jeszcze trudniej w niebie.

Podarowała matka ten obraz do kościoła. Spodobał się proboszczowi. Kazał dziada przywołać. Namalować mu kazał świętego Józefa, Pannę Marię, świętego Floriana i kilku aniołów. A dziad chodził po wsi. Za dziewkami uglądał, ze starcami gadał. Do karczmy wstępował. Na rum, na gorzałkę. A później pod sadem do nocy malował. Po miesiącu, gdy ludzie do kościoła weszli, nadziwić się nie mogli. Co święty, to ich krewniak, kum, znajomek.

Proboszcz też się w tym rozeznał. Później od ludzi, ale się rozeznał. Kazał pozdejmować ze ścian tych dziadowskich świętych, na strych kościelny ich wynieść i plewami zasypać. Na ich miejsce kupił te kartonowe pajacyki z orlimi skrzydłami, z koronami na głowie, w jedwabiu, w brokacie.

W tym czasie zaczął mnie opuszczać mój anioł. Wychodził ze mnie na dzień, na dwa. Później wracał. Zziajany, z zadrapaniami na rękach, z sianem we włosach. Zdawało mi się, że opuszcza mnie po to, aby tym świętym na kościelnym strychu, przysypanym plewami, przynieść z pola, z sadu, z uchylonej komory coś do jedzenia. Jakoś gdy wracał we mnie, czuć go było rzepą, cebulą, studziennie zimnymi śliwkami, weselnym kołaczem. W jego podkrążonych z niewyspania oczach świeciło złote od jesiennego lasu niebo.

Jeszcze później mój anioł zaczął mnie opuszczać na całe tygodnie. Wtedy zaczął mnie nawiedzać ten kartonowy anioł z kościoła. Łasił się do mnie, przymilał, cukierki mi podsuwał, próbował mnie prowadzić przez kładkę, przez podszyty wilkiem bór. Ale gdy wchodziłem do wody rozebrany do naga, gdy zakradałem się do sadu sąsiada, gdy o zmierzchu pociągałem za warkocz dziewczynę, całując ją w szyję, uciekał ode mnie. Zostawał po drugiej stronie rzeki, za płotem ogradzającym sad, stał w zmierzchu z ręką na oczach, przestępując z nogi na nogę obuty w atłasowe pantofelki. Drażnił mnie coraz bardziej. Kiedyś, gdy mi przez cały dzień wypominał skradziona sąsiadowi parkę gołębi, wybiłem go kijem i przepędziłem od siebie.

Od czasu do czasu powracał do mnie ten anioł malowany przez dziada na desce. Żalił się, że trudno mu wyrwać się z kościelnego strychu, bo jest powiązany z braćmi po świętości sznurkiem i drutem. Mógł przychodzić do mnie jedynie w mniej rzucające się w oczy kościelne święta, kiedy na chórze nie było organisty, a w zakrystii kościelnego. Wtedy chłopcy przeszukując kościelny strych za ptasimi gniazdami, z ciekawości i z despektu po trosze, rozwiązywali ze sznurków świętych. Korzystał z tej swobody mój pierwszy anioł. Ale odkąd widziałem tych mordowanych Cyganów, anioł przestał przychodzić do mnie zupełnie.

Widuję go z daleka. Jest większy od drzewa. Od całego lasu jest większy. Nosi ze sobą skrzypce. Czasem gra na kornecie. Najczęściej jednak zjawia się przede mną jako wielkie basy. Idą te basy do mnie na drewnianej nodze, przygrywają. Słyszę, jak do ich drewnianego brzucha wrzucają weselnicy po szóstce, po pięćdziesiąt groszy. Jeszcze częściej mój anioł jest tym białym bebnem. Wtedy nic nie widzę, prócz tego białego bębna z wzniesionymi nad nim zaszytymi w czerwone sukno drewnianymi pałeczkami.

Pod lasem prawie się zmierzchało. Wprawdzie nadal świeciły czerwieniejące przed zimą leszczynowe pręty, ale przez korony świerków coraz gęściej przesiewał się zmrok. Spojrzeliśmy w łąki. Pasące się konie były zamotane w grubą sieć konopną.

Wstaliśmy spod świerczka. Za łąkami, tam gdzie powinna być nasza wieś z kościołem pośrodku, stał obłok. Wydawało mi się, że w tym obłoku widzę kuśtykające na drewnianej nodze basy. Trąciłem Franka w łokieć. Pokazałem mu obłok. Pociągnął mnie za sobą.

Weszliśmy w łąki. Rozpętaliśmy konie. Wsadziliśmy im w pyski werbliki i podprowadzając je pod piaszczysty pagórek, wskoczyliśmy na ich grzbiety. I z miejsca kłusem wjechaliśmy w łąki. Po chwili nie czuliśmy już zapachu lasu. Łąki pachniały parchającymi się po raz ostatni myszami, rozgniecioną końskimi kopytami ostrzycą i tryskającą z małych kępek mchu jagodową wodą.

Wjechaliśmy w ten stojący obłok. Ale nie było w nim idących na drewnianej nodze basów. W środku pola rósł kilkuletni dąb. Stąd już dokładnie widzieliśmy wieś. Wprawdzie zdawało się, że ktoś ogromny zamotał ją w lnianą i konopną przędzę, ale była to nasza wieś, świecąca resztką słońca w sadach i olszynowych kępach. Wydawało się nam jeszcze, że nad jej słomianymi dachami widzimy przesuwający się biały weselny bęben. Przystanęliśmy. Po kalenicach domów szedł białym kołem miesiączek. Po łące dudniły kopyta naszych koni.

MAREK WAWRZKIEWICZ

LEKCJA ANATOMII

Co on przez to rozumiał

Otwórzmy mu czaszkę
Zobaczmy co się kryje pod powierzchnią czoła

Co chciał przez to powiedzieć

Poplączmy krwi ścieżki
Powróżmy z wnętrzności

Nim je wrzucimy w ogień aby wróżyć z dymu
A mózg poety taki nieciekawy
Położony na ziemi tworzy szary wzgórek
Który nie wystaje nad okrągłość ziemi

Ręce z krwi obmyjmy aseptycznym płynem.

WIERSZ Z WYSOKIEGO BRZEGU

Odeszli — dokąd — głośnym płaczem matek
(Ten płacz się powtarza Pamięć I dreszcz zimny)
Ci co przyszli z południa
Z południowej strony
Z tamtej łuny czerwonej nad łańcuchem wzgórz
Co po nich w nas zostało
Nie wiem To
Zostało
Może ten ciężar rąk
I na oczach ciemność
Nie wiem Nie umiem
Nie wyśpiewa tego
Ten krzyk ochrypły dziewki pijanej i drozd
Drozd ze skrzydłem skwierczącym kiedy las się palił
Prawda
ten las już spłonął Należy do chmur
I teraz szumi w chmurach
To mistyka leśna
Wzgórza zaś przyozdobił tylko żyzny popiół
A w nim owocują białe czaszki wilków

(Gdy już pożar dogasa odchodzą świadkowie
Na wysoki brzeg morza)
Morze takie dziwne
Po białej pianie brzegu gołębie przechodzą

„Nie będziemy nigdy przodkami dla ludzi"
„Czy nic po nas nie będzie"
Czas najlepiej mija
Zostanie mi w pamięci ten czerwony jeździec
Także obraz dziewczyny tańczącej na wodzie
A jeszcze odnajdziemy nadpalony papier
Z fragmentami zapisu
Piękny i zielony
Deszczu
Któryś świadczył
Moim tęsknotom
Moim bólom
. . . . . .
Te słowa mówią
Na poły majacząc
. . . . . .
Tu cię przywołują
Do tej dusznej
Ciasnej
Atmosfery eteru
Piękny i zielony
Któryś . . . . . .
. . . . . .
. . . . . Starca
Rozdziera wiatr
Wiejący
W nieznajome strony
. . . . . .

„Zostanie po nas nic
To nam odpowiada"

HISTORIA PANA A.

Jest to historia pana A. Pan A był mistrzem. Nie, nie był wielkim mistrzem. Powiedzmy to sobie szczerze był mistrzem miernym. Jednym z wielu zwykłych powszednich mistrzów, których co roku produkuje każdy kraj.

Nie był człowiekiem gry. Uprawiał sport tak jak uprawia go amator. Prócz tego miał zawód. Dobry zawód. Godny, nobliwy. Ale pan A kochał grę. Tę grę, w której uczestniczył. Ten rodzaj sportu, który uprawiał. Sprint, piłkę nożną czy rugby. Mniejsza o to. Rodzaj sportu jest tu nieważny. Ważna jest miłość. Miłość pana A.

Pan A popełnił samobójstwo. Popełnił je, oglądając telewizyjną transmisję z Wielkich Zawodów. Na które mógł pojechać. I na które nie pojechał. Było to więc samobójstwo z miłości? Samobójstwo zawiedzionego kochanka? Celadona, który podnosi ciężary albo Celadona w goglach? Zdradzonego, porzuconego Celadona? Wystawionego na śmiech? A może rozsirzygnęły tu ambicje? Albo wiedza?... Nagle otwiera się świadomość własnej sytuacji. Przychodzi wiedza o sobie samym. Wiedza zupełna, kompletna. Pan A nie mógł jej przetrzymać. Uciekał przed nią. I uciekł. Uciekł w śmierć.

To wszystko zaczyna się od miłości. Pan A kochał grę. Doprawdy niczego tak nie kochał. Miał ambicje. Nie byle jakiego formatu, skrojone na wielką miarę. Chciał być pierwszy. Pierwszy to znaczy najlepszy. Nie w ogóle, nie jako lekarz, adwokat czy inżynier. Chciał być najlepszy w grze. Tej grze, którą kochał. Tu? Tu ubiegał się o doskonałość. Nic poniżej doskonałości!

Na samym początku pan A był dobrej myśli. Miał piękne nadzieje. Wierzył w to, że się spełnią. Wierzył w sukces. Nadejdzie wielki dzień, który będzie jego wielkim dniem. Oczywiście, trzeba włożyć w to wiele pracy. Wielki dzień ma swoje koszty. Trzeba je zapłacić. Pan A je płacił. Trenował, trenował... Do tej pory nie wiodło mu się najlepiej. W grze. Oczywiście, w grze. Tak, miewał sukcesy. Ale były to sukcesy wątłe, cherlawe. Nie zrażało go to jednak. Wciąż trenował i czekał. Przyjdzie wielki dzień. Przyjść musi. Może nie teraz. Za rok, za dwa, trzy. Tylko trochę cierpliwości. Zacisnąć zęby i trenować. I czekać. Potem zaczęły się kontuzje. Zna je każdy mistrz, czy prawie każdy. Pan A nie mógł startować. Leczył się, doszedł do siebie. Wrócił do sportu. Był znów najlepszy w kraju. Niestety, tylko w swoim kraju. Wreszcie nadciągnęły Wielkie Zawody. Pan A nie pojechał na nie. Złożyło się na to wiele przyczyn. Nie chcę o nich opowiadać. Na Wielkie Zawody pojechali inni. Są gorsi od pana A. Ale są młodsi. Pan A ogląda telewizyjna transmisję. I wówczas przychodzi wiedza. Wiedza o sobie samym. O swojej sytuacji.

Pan A przekroczył trzydziestkę. Nie pojedzie już na Wielkie Zawody. Będzie je oglądał. Przy telewizorze. Zobaczy je za szkłem. Ma zbyt wiele lat. Jest stary. Za stary na sukces. Wielkie Zawody — te, które widzi teraz, były jego ostatnią szansą. Przeszła mu koło nosa. Nie zdołał jej ucapić. Wielki dzień, jego wielki dzień... Nie pragnie już wielkiego dnia. Wystarczy mu wielki ranek. Albo wielkie popołudnie. Może czekały go tam, na tych zawodach? Nie jest tego pewien. Ale teraz, gdy nie pojechał, gdy został w swoim mieście, w swoim mieszkaniu, wśród swoich ścian.... Tak, teraz ma już pewność. Nie będzie wielkiego dnia. Ani wielkiego poranka. Ani wielkiego popołudnia. To nie zdarzy się, nigdy się nie zdarzy. Nie będzie najlepszy. Kim był? Mizernym mistrzem. Cóż pozostało mu z mozolnych lat? Z różowych, infantylnych nadziei. To lata niepotrzebne, nadzieje po nic. Umknęła mu doskonałość. Nie dopadł jej. Stoi teraz sapiąc, zdyszany daremną gonitwą i ociera pot.

Gdyby był pisarzem, mógłby wierzyć w swoją wielkość pomimo niepowodzeń. Mógłby liczyć na to, że kiedyś, po latach, ci, których nie zna, sięgną do jego książek i wreszcie je odkryją. Gdyby był aktorem, mógłby zaufać starości. Dopiero wtedy objawi wszystko, na co go stać. Ale mistrz — bokser, sprinter czy piłkarz — nie liczy na wiek podeszły. Zazwyczaj żyje dłużej niż trwa jego chwała. Przygląda się temu, jak traci ona swój połysk, swoją intensywność, jak płowieje. Chwała mistrza jest chwałą natychmiastową, chwałą doraźną. Zresztą, nie jest ona sprawą fluktuacji gustów. To sprawa wyników. Rekordów, wygranej. Pan A wie o tym. Zdaje sobie z tego sprawę. Może wmawiać sobie, że był wielki. Że był znakomity, najlepszy. Może opowiadać to innym. Przekonywać o tym siebie, przekonując innych. Może zapewniać ich o tym. Dawać im słowo honoru. Może żyć dalej fałszując świadomość. Podrabiając ją, kalecząc. Ale każdego dnia grozi mu to, że nie zdoła skontrolować sam siebie. Zapomni o tym.

I wówczas — nagle — zrozumie to, czego zrozumieć nie chce. Będzie wiedział. Tak jak wie teraz stojąc przed telewizorem. Chciał wiele. Niczego nie dostał. A raczej — dostał mniej niż nic. Wymęczył, wymozolił z siebie mizernego mistrza. I zostanie mizernym mistrzem. Jego wielki dzień był niewydarzonym, garbatym dniem, w którym zdobywał mistrzostwo kraju. Czy można żyć z taką wiedzą? Wówczas gdy celowało się w doskonałość. Czy można ją udźwignąć? Dźwigać dzień po dniu.

Uciec, uciec! Tam, gdzie nie ma wiedzy i nie ma pamięci. Uciec w śmierć. Oto żałosna historia pana A. Historia daremnej namiętności i ambicji nad miarę. I wiedzy o samym sobie. Wiedzy, której nie można już tolerować. Nie można znieść.

Punch

Fot. J. Neugebauer

Zwierzenia aktorów

ROLĄ, KTÓRĄ CHCIAŁABYM GRAĆ...

Zapytana w tej sprawie przed kilkunastu laty, wymieniłabym tu galerię najwspanialszych ról kobiecych. Byłyby tam oczywiście owe słynne Ofelie, Desdemony, czy Julie. Byłyby i bliższe — rodzime Klary czy Amelie. Mogła się zjawić i... Diana; owa „perła kałakucka" była szczególnie drażniąca. Ten gest! Ta mina!

Tymczasem rzeczywistość, ta codzienna, zwłaszcza w pierwszym okresie Teatru Nowego, toczyła się wśród epizodów, rólek, czasem ról, ale jakże innych od tych, które śniły się w skrytości. Rzeczywistość ma często brzydki pysk, oraz tę właściwość, że na dłuższą metę nie sposób się z nią nie liczyć. Rzeczywistość uczyła więc szacunku nawet dla jednozdaniowego epizodu. Sukcesy spektaklu często sens tego potwierdzały. Wychowana w surowych zasadach zespołowego teatru dławiłam w sobie z nieudawaną pokorą pragnienie samodzielnej twórczości. Stare nawyki i dobry smak otoczenia teatralnego w którym wzrastałam — wzmagał krytycyzm i samokrytycyzm. I tak z latami została we mnie już tylko ta jedna ambicja — grać dobrze. Nawet to czego się nie lubi, nie interesuje, nawet odraża — grać wszystko czego żądają.

Były to lata wielkiej i trudnej pokory. Mimo wszystko nie przeszły one bez znaczenia, myślę, dobrego na mój los aktorski. Dawne „grzeszne" pragnienia przychodziły rzadko i skrycie, ale wtedy wywoływały tym większy popłoch. Przychodziły jak skurcz przestraszonego serca, że na nic to całe życie, ta cała „twórczość" czy „odtwórczość", jak ją tam dyskutują — kiedy nic, a przynajmniej prawie nic z tego, co radowało czy dręczyło, co było sumą twego życia, twego czasu — nie możesz powiedzieć ze sceny tak jak tego pragniesz. Bo aktor przecież też jest człowiekiem. Miewa na przykład poczucie przemijania.

W miarę lat te „żale jeremiaszowe" przychodziły coraz częściej. Aleje Kościuszki są dostatecznie ciemne i smutne, aby dochodząc „wieku męskiego" czuć się tam nocą, na niezmiennej trasie samotnych powrotów do domu — jak w owym lesie dantejskim, albo bliżej wierszom tuwimowskim:

...„obudzony w środku życia
jak aptekarz w środku nocy"...

Otóż to! Obudzona w środku życia, z lekkim uczuciem mrozu w kościach myślałam nieraz nad nieważkością tego, co się dotychczas zrobiło. Cóż bowiem mogło mu nadać istotniejszy sens jeżeli nie to jedno chyba tylko — g r a n i e? Aktorstwo. Ta „dziwna zabawa" angażująca ciało, intelekt czy intuicję. Z czego lepisz dziesiątki czy setki różnych człowieczków. Rzadko całych, częściej ich kawałki... Ich sprawy wielkie czy małe, śmieszne czy groźne, odległe czy bliskie. A wszystko to masz wyrazić słowami danymi ci przez innego człowieka. Napełnić je swoim doświadczeniem, świadomie, przeczuciem czy imaginacją. A na koniec, niebagatelny to koniec, w krótkim procesie spektaklu, czasem tylko twórczym, rzadko tylko (niech mi wolno będzie powiedzieć) — natchnionym — masz to jasno, plastycznie przekazać tam za rampę. „Bo oni tam siedzą i płaczą" — jak mówił Zelwerowicz.

Więc zdeterminowawszy swój los wyborem tej „dziwnej zabawy" — jako zawodu — muszę w w końcu w niej znaleźć miejsce na to, aby życie przeszło najsensowniej i najpełniej. Aby to realizować potrzebny jest tekst — owa rola, ta rola upragniona, najbliższa, owe teksty — preteksty, potrzebne do wyrażenia treści teraz właśnie najbardziej niepokojących.

Wydaje mi się, że dziś po wielu latach uniesień i upadków, o wiele pewniejsza siebie i zarazem o wiele skromniejsza niż kiedyś — znalazłam znów obraz mojej upragnionej bohaterki. Zresztą cóż, nawet wśród względnej harmonii aktorskiego ducha, może się przecież zjawić nagle żarliwe pragnienie wyrażenia siebie w tej tylko, ujrzanej czy wybranej postaci ze sztuki. Mam tu na myśli coś innego niż ową zdrową w aktorze potrzebę przeobrażania się, obcowania w różnych osobowościach. Myślę tu o roli — konieczności, roli — dopełnieniu, dającej nadzieję na to, co jest udręką każdego artysty — na wyrażenie swego czasu, swego świata i siebie w nim, w jedyny — jak sądzimy — niepowtarzalny sposób. Obojętne czy napisano tę „moją" rolę, czy też nie. I obojętne jest nawet to czy będę ją mogła kiedykolwiek zagrać. Zresztą — nawet najwięksi w teatrze nie są panami w wyborze, twórczość aktora jest obramowana dziesiątkami względów i interesów rozlicznych (stąd między innymi demoralizacja i drapieżność środowiska). Najważniejsze, że j a w i e m już jak ona wygląda. I już się z nią nie rozstanę. Jej imię? Czy to nie wszystko jedno. Moja dobra znajoma, czy może ja sama? Wlecze za sobą poszarpany już nieco „welon wspomnień" młodości. Uwikłana w trudy „niedobrego" dla kobiety wieku, mówi słowa nie zawsze dorzeczne. Jest bardzo śmieszna i bardzo biedna. Jej myśli poplątało tysiące drobiazgów codziennego istnienia. Przypatrzcie się jej z bliskar „zanurzywszy ręce po łokcie w wielkiej kobiecej torebce, miesza w niej, tak samo jak mieszają się w jej ustach i myślach sprawy wielkie i małe: chore zęby i miłość, marzenie o twórczości i troska o nakarmienie dziecka. W sposób jedynie kobietom dany, jest patetyczna i trywialna, mądra i głupio nieobliczalna w swej nieustannej potrzebie kochania słońca, kwiatów, mężczyzn i dzieci. Dzień za dniem zstępuje samotnie w grób, świadoma klęski, a przecież wciąż marząca o lepszych dniach, po kobiecemu, uparcie wierząca w sens toczącego sie życia, do końca, rozpaczliwie — optymistyczna. Jak stara Ziemia.

Niebohaterska ta bohaterka — ale jakże bardzo ludzka. Bardzo mi jest droga. I niezależnie od tego jak potoczą się dalej moje aktorskie losy — nie rozstanę się z nią. I wiem już — niech mi to wybaczą moi widzowie — jeżeli nie będzie mi dane zamknąć jej w jednej postaci będę — gdzie tylko się da — przemycała jej cząstki w innych rolach. Bo ona jest po trochu w każdej kobiecie. Do łez śmieszna i dramatyczna do śmieszności. Po prostu — jak życie.

BOHDANA MAJDA

Spowiedź na scenie

Od dnia premiery w Lincoln Center w Nowym Jorku, nowa sztuka Arthura Millera „Po upadku" („After the fall") wywołuje wciąż ogromne poruszenie. Jest to, jak gdyby rachunek sumienia autora przed całą Ameryką. Arthur Miller, który nie napisał ani jednej sztuki od czasu „Widoku z mostu", sprzed dziewięciu lat, daje publiczności w tym spektaklu swoją autobiografię, historię swej miłości z Marilyn, ich nieporozumień i jej tragicznej śmierci. Barbara Loden w roli Maggie (Marylin), wskrzesza aż do najdrobniejszych szczegółów stroju i makijażu, tą która była ostatnią „ofiarą" Hollywoodu.

„Moralność, oznacza prawdę, nawet jeśli prawda musi się obrócić przeciw mnie". Tę prawdę stawia Miller przed oczy nowojorskiej publiczności. Autor „Śmierci komiwojażera" swoją nową sztuką „Po upadku" rzuca wyzwanie amerykańskiej moralności, sztuka jest szokiem nawet dla zwolenników skandalu.

Prawda Arthura Millera ma nastrój alkowy, tej w której żył wraz z Marylin Monroe. Ma ona posmak wyrzutów sumienia — autor spowiada się ze swej odpowiedzialności za samotną śmierć tej, która była jego żoną.

Bezwstyd, brak szacunku dla zmarłej — oto zarzuty jakie stawiają autorowi intelektualiści, światowcy i dyplomaci. Wokół sztuki rozpętała się burza

„Po upadku" wystawił nowy teatr w Greenwitsch Village, w dniu premiery pachnący jeszcze świeżą farbą, teatr awangardowy, bez dekoracji i kurtyny. Dyrekcję powierzono Elii Kazanowi znanemu intelektualiście - filmowcowi. Te dwa nazwiska zelektryzowały publiczność.

Pierwszy akt to długi, półtorej godziny trwający monolog. Quentin (Miller) — rozmawia ze swym sumieniem, zadaje sam sobie pytania, analizuje, przeżywa, robi sobie wyrzuty. Wspomina sceny z minionych lat. Gra go Jason Robards Junior. Jego technika aktorska przypomina Henry Fondę, a głos Humphrey Bogarta. (Dziwnym zbiegiem okoliczności J. Robards jest mężem Laureen Bacall, wdowy po Humphrey Bogarcie).

W dalszym ciągu pierwszego aktu Miller opowiada o czterech kobietach, które zajmowały ważne miejsce w jego życiu — to matka, pierwsza żona Mary Slattery (Lonin), Marylin (Maggie) i Inge Morath (Olga) — jego obecna żona.

Pierwsze spotkanie z Maggie. Quentin spóźnia się do domu. Żona robi mu wyrzuty. On opisuje jej... Marylin. „To szalona dziewczyna. Wystarczy jej samo istnienie — jest jak kot, albo jak drzewo. Na jej czole wypisane jest słowo teraźniejszość".

I tu zaczynają się wyznania. Miller nie poprzestał na opisaniu Marilyn. Barbarę Loden ukształtował, oprawił, niejako wcielił w osobowość Marilyn. W życiu nie przypomina ona w niczym M. Monroe — włosy proste, małe oczy, wąskie wargi. Jednak charakteryzacja i peruka przeobraziły ją w idealną kopię „złotowłosej gwiazdy" Arthur Miller uczył ją osobliście intonacji głosu, akcentu, ruchów swej byłej żony. Złudzenie jest tak kompletne, tak szokujące, że chwilami widzom wydaje się, że to ponowne spotkanie z małżeństwem Miller-Monroe. Gdy Maggie zaczyna pić, mówi:

— Ja nie lubię smaku whisky, jedynie nastrój jaki wywołuje. Nikt nie bierze mnie na serio. Traktują mnie jak żart, jak maskotkę.

Ostatnia scena wyjaśnia przyczyny śmierci Marilyn Monroe. Maggie w białej koszuli, podekscytowana leży w łóżku, w ręku flakon pastylek nasennych. Quentin, znużony nieustannym wyrywaniem jej z rąk trucizny, mówi:

— Nie, nie będę już liczył pigułek. Nie chcę być dłużej twoim policjantem. Już dwa razy wyratowałem cię od śmierci. Osłaniałem cię przed skandalem, przed ciekawością dziennikarzy. Nie mam już więcej siły. Bierz twoje pigułki i twoje życie, rób co chcesz, to twoja sprawa.

Quentin - Miller powtarza słowa, niewątpliwie wypowiedziane w najcięższych chwilach rozstania:

— Nie jestem winny, jestem jedynie odpowiedzialny za moje własne życie. Samobójstwo zabija dwoje jednocześnie i dlatego się je popełnia.

Autor powiedział już wszystko. I aby powrócić do rzeczywistości, zjawia się na scenie Inge Morath (Olga) — jego ostatnia żona.

„Hello", — mówi, „hello" — odpowiada Quentin. To koniec.

„New York Herald Tribune" — pisze po premierze: „To jak gdyby pan Miller zaprosił nas do siebie pod swój stary adres". Popularny „Daily News" twierdzi: „Ta sztuka, to samoanaliza, a publiczność gra tu rolę psychiatry". Burza dopiero się rodzi, krzyżują się opinie, rozpoczynają polemiki. Arthur Miller odmawia jakichkolwiek komentarzy: „Nie mam nic do dodania, powiedziałem wszystko jako autor".

A. Z.

Flirt z czytelnikiem

LIST PIERWSZY:

Otrzymałem dziś wycinek z nieznanego mi (niestety) dotychczas pisma Waszego z dnia 26 ub. m., w którym zauważyliście, iż „chwalebna troska moja o kulturę życia codziennego — zdaniem większości — Rady Narodowej w Krakowie — chyba trochę przesadzona".

Odpowiadam: 1. Nie było żadnego głosowania, więc uwaga o większości była niesłuszna. 2. Były bardzo żywe oklaski, zwłaszcza radnych-kobiet, a to było ważne. A zresztą wie Pan, Panie Redaktorze, jak wyglądają Ibsenowskie „kompakte Majoritaeten"? Ile razy miałem rację w życiu, znajdowałem opozycję. No i cóż, jeśli jest się samemu przeciw opinii innych?

Sztuka Brazylijczyka była marna. Młodzież nasza nie powinna oglądać złych, brutalnych, ordynarnych, sztuk... Np. gangster domaga się od trzech prostytutek pokazania piersi. Która ma piękniejsze, dostanie sznur pereł. Gdy żadna nie dostała pereł, gangster chciał papierosa gasić na tych piersiach. Czy to dowcipne? W sztuce „obyczajowej" morduje się cztery osoby?

Chcę byliście delikatni wobec „nestora", to jednakże stanęliście po stronie brutalności... Pamiętajcie, Redaktorze, że nihil sine causa, że wiele skutków wynika z niepotrzebnej swobody wulgarnych określeń... I myślę, że z wulgarnością, ordynarnym stylem — trzeba walczyć.

Poseł dr **Bolesław Drobner**
Kraków

Wydrukowaliśmy felieton W. Orłowskiego na zasadzie prawa do swobodnej wypowiedzi każdego autora. Nie żałujemy tego, gdyż w nagrodę nasze archiwum wzbogaciło się o interesujący list p. Posła

LIST DRUGI:

Jestem w posiadaniu przypadkowo znalezionego pamiętnika uczennicy klas 7 i 8 byłego prywatnego gimnazjum w Łodzi z lat 1919 i 1920. Chciałbym go zwrócić autorce lub — jeżeli nie żyje — jej najbliższej rodzinie. Niestety, nie podaje ona swego nazwiska. Z treści pamiętnika wiadome tylko jej imię — Janina. Wymienia również w pamiętniku nazwiska najbliższych swoich ówczesnych koleżanek, a mianowicie: Wanda Filtzner, Jadwiga Lubowiecka, Janina Lechowska, Anna Racięcka, Mieczysława Raczkowska i Alina Gebler. W 1920 r. udzielała korepetycji córce lekarza Osieckiego. Z stylu i treści pamiętnika widać duże zdolności literackie i zamiłowanie do piękna. Musiał ten pamiętnik mieć ogromną wartość dla piszącej, gdyż jest w nim mała wzmianka o tym w 1935 r.

Czuję się w obowiązku przekazać tę najbardziej osobistą rzecz do rąk właścicielki i dlatego od roku 1961 czynię poszukiwania jej adresu. Byłem w tym celu w 1961 r. w Łodzi, ale nie udało mi się trafić na jakikolwiek ślad poszukiwanej. Również informacje zasięgane w Związku Nauczycielstwa w Łodzi oraz wysłane listy do wybranych z książki telefonicznej m. Łodzi osób o nazwiskach wymienionych w pamiętniku nie dały żadnego wyniku. Do Głównego Biura Adresowego nie mogę się zwrócić z braku najważniejszych danych osoby poszukiwanej, tj. nazwiska.

Kazimierz Szepietowski
Ostrów Wlkp.
ul. Raszkowska 62 A m. 6

I LIST TRZECI:

Czy nie moglibyście zająć się na łamach „Odgłosów" wytłumaczeniem bardzo niepokojącego na naszym łódzkim terenie zjawiska — pisze p. Mirosław Poniecki z Łodzi. — Mam na myśli rozmaite prelekcje, spotkania i odczyty z dziedziny nauki, sztuki, techniki, polityki. Dlaczego frekwencja w większości tych imprez jest tak zatrważająco niska? Dlaczego na często naprawdę ciekawe i wartościowe odczyty, spotkania przychodzi z reguły 10—20 osób?... A może by prasa łódzka potrafiła wpłynąć na łódzką klasę robotniczą, przygotować ją i zachęcić do korzystania z szeroko zakrojonej akcji odczytowej? Czy nie warto tej sprawy poddać dyskusji czytelników?"

Na pewno warto.

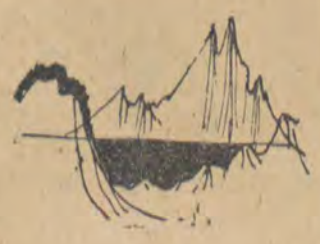

KAPUSTA i WIEJSKIE SALONY

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

Przed przyjazdem do Kutna nasza „Odgłosowa" ekipa zmawiała się chytrze, przygotowaliśmy cały plan wtargnięcia do miasta. Jeden schwyci za gardło ekonomikę, drugi lirykę, a ja młodzież. No, a teraz kiedy przychodzi do pisania — poddaję się, podnoszę ręce do góry — nie schwyciłem za gardło, ginę w cyfrach, tonę w potoku słów itd. itp.

To, co robi młodzież w kutnowskim powiecie i mieście Kutnie ogromnie jest skomplikowane i dwoiste. Dwoiste przynajmniej w tym znaczeniu, że błyszczący sukces pojawia się obok absolutnej klapy, energiczna i skuteczna działalność obok śpiączki. Wiadomo — młody sen, to sen twardy. Młodzież stale zaczyna coś nowego, kilka razy do roku „wybuchaja" rozmaite akcje, jedne nie skończone, inne w toku, jeszcze inne dopiero co zaczęte. Jakże to ocenić na poczekaniu?

Czy młodzież kutnowska garnie się do zorganizowanego życia, czy też woli chodzić, jak mawiał mój łacinnik — solivagus? Garnie się, ZMS liczy obecnie 2792 członków, ZMW — 3897. To dużo, kutnowskie należy do powiatów prężnych, jeżeli chodzi o ruch młodzieżowy, potrzeba działania społecznego pośród młodych jest więc w tych stronach oczywista.

Pytanie tylko, jak to działanie wygląda, do czego się przydaje i komu? Wędrujemy za rogatki Kutna, na wieś i tam już pozostaniemy, nie dam rady wszystkiego opisać. 80 proc. członków Związku Młodzieży Wiejskiej mieszka na wsiach, gospodarzy. Szczegół istotny, gdyż właśnie owo gospodarzenie wysuwa się w działalności ZMW na czoło. Dlaczego? Przez wiele lat, co tam zresztą lat, całe wieki — chłop — oznaczał pozycję socjalną, było to w każdym razie określenie zgoła nie zawodowe. Jeżeli ktoś chce dzisiaj pracować na poczcie, albo w tramwajach miejskich — musi mieć za sobą odpowiednią szkołę, albo przynajmniej zawodowy kurs. Tak jest niemal wszędzie. Tylko na chłopa nie trzeba się uczyć, wystarczy przyjść na świat. Tymczasem, gdyby to wystarczało, aby dobrze gospodarować nie musielibyśmy dokupywać za granicą pszenicy i jeszcze czegoś do tego. Chłop to rolnik, a rolnik to określony zawód, który trzeba znać, trzeba go się wyuczyć — pod tym hasłem, nie jedynym zresztą, działa ZMW. W Kutnowskiem i gdzie indziej też.

Zdumiewająca jest ta walka młodych ze stara, tradycyjna wsia. Z takiego Załusina aż 80 chłopaków przeszkoliło się na traktorzystów, no, bo tej umiejętności obchodzenia się z maszyną w żaden sposób nie da się wyssać z piersi matki. Znajomość maszyny pozwala mechanizować kompleksowo Załusin. A w ogóle to już 350 chłopców, wykierowało się na traktorzystów.

Próbowałem ustalić — przy pomocy jakich form szkolenia przerabia się zwykłych zjadaczy chleba w rolników, znających dobrze swój fach. Sporo tego, doprawdy sporo. Najpierw więc Zespoły Przysposobienia Rolniczego. Można się w nich nauczyć racjonalnej gospodarki, zdrowej kalkulacji ekonomicznej. Przecież nie może być tak — koło pola Kuloska będzie żytko, a za stodołą pszeniczka, bo tam gadzina i ludzie nawóz znoszą, prawda? Można też nauczyć się elementarnych zasad obsługi maszyn rolniczych, bez tego dzisiaj ani rusz. Jak dotąd 1700 ZMW-owców ma poza sobą tego rodzaju szkolenie. Zespoły Przysp. Spółdz. przygotowują specjalistów w starych i nowych dziedzinach współczesnej wsi — ogrodników, mleczarzy, kalkulatorów w różnych dziedzinach produkcji rolnej, dalej nie pamiętam, ale jest tych specjalności kilkanaście. Co robią Brygady Ochrony Roślin, domyślacie się bez mojej pomocy, wobec tego zwrócę uwagę na humanistyczny aspekt ich działalności. Jest tych brygad w Kutnowskiem — 26, a wszystkie zwalczają poglądy magiczne, że to niby bozia się zezłościła i nasłała liszki, które zjadły kapustę, czy też owoce, albo imperialiści zrzucili stonkę, skoro zaś tak, to przemysł chemiczny nam niepotrzebny.

Przyznam się, że najbardziej spodobała mi się specjalność kutnowskich młodzieżowców — Kluby Młodych Rolników. Jeżeli nie w skali kraju, to na pewno w skali województwa powstały one najpierw tu, w rejonie Kutna i jest ich 10. W pierwszej chwili pomyślałem sobie, że jednak świat się przewraca. Co to za kluby? Młodzi gospodarze zakładają sobie swoje „Fafiki" i „Sezamy"? A cóż oni tam robią? Słuchają profesora Wieczystego, uprawiają równocześnie taniec nowoczesny i studia nad materiałami z ostatniego plenum? Chodzi o coś zupełnie innego.

Młody gospodarz, po szkole rolniczej, traci jednak kontakt z wiedzą, gubi postęp, jaki dokonuje się bez przerwy również i w rolnictwie, więc go musi doganiać i rzeczywiście dogania w klubie, gdzie wodzą rej najbardziej doświadczeni agronomowie. Młody gospodarz, nowinkarz, odrobinę rewolucjonista, zawsze jest obserwowany uważnie przez starą wieś i dlatego musi się „wykazać", oczywiście konkretami. Jeżeli Emilii Roszewskiej dał jeden ar 550 kg ziemniaków, to wtedy starzy mówią — młoda, a nie taka głupia. Szewce Nadolne, gdzie gospodarzy koleżanka Emilia były istotnie zbulwersowane wynikami jej pracy. No tak, ale koło ziemniaka trzeba pochodzić, trzeba znać te nowe metody i zabiegi pielęgnacyjne.

W idei walki o zawód, wyuczony zawód rolnika, mieści się również ważna podidea. Na wsi formuje się nie szybko, oj, nie szybko, młoda inteligencja rolnicza. Na razie to jej prawie nie ma, w Kutnowskiem także nie. Można nawet powiedzieć, że z inteligencją w powiecie kutnowskim duży kłopot. W szeregach ZMW doliczyć się można 31 młodych nauczycieli, 21 agronomów i specjalistów rolnych oraz 8 bibliotekarzy. I to już wszyscy. Przedziwna sprzeczność, widoczna — jak sądzę — nie tylko w Kutnowskiem. Młodzież, ta z samego dna życia wsi, ciągnie do organizacji, chce działać. Natomiast młodzież wykształcona, „na funkcjach" ucieka od społecznej działalności, zamyka się w swoich klanach. Po wiejskich salonikach grywa się w brydża, i owszem — nieźle pije, saloniki pasjonuje „Kobra", ale z pewnością nie wiejskie błoto za oknami i nie hektar polskiego pola, któremu Ameryka musi pomagać, bo chudo rodzi. Szczególnie przykry jest odpływ społecznych ambicji u młodych nauczycieli. Ano, tak to jest, narzekaliśmy na kompleks „Siłaczki", nie mamy teraz żadnego.

Rzecz prosta, samopoczucie inteligencji wiejskiej w dużej mierze uwarunkowane jest stanem kulturalnym wsi. Człowiek otarty o miasto zawsze myśli o innym stylu życia niż wiejski, nie zawsze odpowiada mu repertuar kina wiejskiego, jeżeli to kino w ogóle istnieje w pobliżu, nie wystarcza mu świetlica, a świetlica jest nadal podstawową instytucją życia kulturalnego wsi kutnowskiej. Na 60 świetlic 34 prowadzi ZMW. No, ale co się w tych świetlicach dzieje? Rozmaicie, często jednak nic się nie dzieje. Zestaw książek w bibliotece wiejskiej może odpowiadać czytelnikowi przeciętnemu, ale nie inteligentowi. ZMW hołubi inteligencję, powstają kluby inteligencji wiejskiej, organizuje się dla niej obozy szkoleniowo-wypoczynkowe, urządza atrakcyjne wycieczki, pomaga w miarę możności przy instalowaniu się na wsi. Ale to mało, problem zaspokojenia potrzeb inteligenta pracującego na wsi wciąż jest otwarty. Może byłoby łatwiej z tymi skomplikowanymi procesami asymilacji, gdyby „dorośli" bardziej cenili sobie problem młodzieży. Tymczasem z czystym sumieniem można powiedzieć, że dwie-trzecie rad narodowych nie zauważa wcale istnienia młodzieży, jako niezmiernie cennej i godnej poparcia siły społecznej. Ostatecznie, kiedy remontowano budynek na klubo-kawiarnię w Podczachach, młodzież oddała swoją pracę bezinteresownie, a jak przeliczono tę pracę na pieniądze, wyszło 15 tys. złotych. W Klonowcu — 10 tys. złotych. Blisko trzy tysiące młodych ludzi postanowiło z okazji XX-lecia PRL przepracować na pożytek ogólny po 20 godzin każdy. Jak się tę uczynność policzy — wyjdą okrągłe setki tysięcy złotych, wyjdą miliony.

Relacja — młodzi i dorośli — nie wygląda w Kutnowskiem najlepiej. Gdyby zliczyć dla przykładu radnych w Powiatowej i Gromadzkich Radach Narodowych, to będzie ich pod pięćsetkę, ale przedstawicieli organizacji młodzieży wiejskiej — tylko 34. To ma swoją wymowę i nie jest bez znaczenia dla młodej inteligencji, dla jej ambicji, możliwości działania, współrządzenia, a więc także samopoczucia.

Henryk Modrzewski w znakomitej charakteryzacji jako Dyndalski

Fot. F. Myszkowski

HENRYK MODRZEWSKI

o teatrze i (niechętnie) o sobie

Zdarzyło się to w Krakowie w 1919 roku, gdy na scenie Teatru Słowackiego za dyrekcji Teofila Trzcińskiego wystawiono „Kościuszkę pod Racławicami" W. L. Anczyca. Podczas sceny powitania Kościuszki przez mieszczan krakowskich jeden z aktorów, długi i chudy młodzieniec, zdołał wydusić z siebie tylko trzy słowa: „Jaśnie Wielmożny Naczelniku..." po czym wybuchnął płaczem.

Można sobie wyobrazić przestrach młodzieńca, gdy w przerwie przedstawienia zbliżył się do niego sam reżyser Józef Sosnowski. „Teraz mnie wyleje" pomyślał nieszczęśnik, ale Sosnowski mruknął tylko, klepiąc go po ramieniu:

— Będzie z ciebie aktor.

Tak odbyło się pasowanie na rycerza sztuki aktorskiej Henryka Modrzewskiego, tak zaczęła się trwająca po dziś dzień, a więc lat czterdzieści pięć, jego wielka miłość do teatru. Gdy rozmawiamy z jubilatem — zasłużonym aktorem Teatru im. Jaracza w Łodzi — z trudem udaje się nam nakierować go na wspomnienia dotyczące własnej osoby. O tym mówi niechętnie.

Natomiast nie daje się długo prosić, by opowiedział coś o teatrach, z którymi był związany na długiej drodze swej kariery aktorskiej, i o ludziach teatru, z którymi się na tej drodze zetknął. Z największym bodaj sentymentem mówi o Osterwie i o jego Reducie. Bo też było to zjawisko jedyne i niepowtarzalne, była to niespotykana nigdzie szkoła miłości dla teatru i pracy dla teatru. Właśnie z reduty wyniósł Henryk Modrzewski żelazne zasady, jakimi powinien się kierować aktor szanujący swój zawód.

Te same zasady stara się wpoić swoim studentom w Państwowej Wyższej Szkole Teatralnej i Filmowej im. L. Schillera w Łodzi doktor Henryk Modrzewski. Trzeba tu nawiasem wspomnieć, że jest jedynym chyba wśród aktorów posiadaczem tytułu doktorskiego i to zrobionego nie pod byle jakim kierunkiem, bo prof. Juliusza Kleinera.

Ale wracając do zasad, jakie wpaja studentom. Zaleca im przede wszystkim skromność. „Nauczyłem się jej od wielkich artystów" zwykł jest przy tym mówić. „Od Osterwy, od Jaracza i od innych", „Trzeba kochać teatr" a nie siebie w teatrze" — to dalsza maksyma adresowana przez Henryka Modrzewskiego do adeptów sztuki aktorskiej. Praca, rzetelność, punktualność, to cechy, które chce w słuchaczach swych rozwinąć.

— Często pytam studentów na zajęciach z prozy na II roku Szkoły — opowiada Modrzewski — jaki tekst chcieliby przede mną wygłosić. Proponują mi więc monolog Hamleta, lub Wielką Improwizację z „Dziadów". A ja im mówię: dobrze, ale najpierw przygotujcie mi inną rzecz. Postarajcie się opisać słownie wnętrze waszego pokoju mieszkalnego. Z tym pozornie łatwym zadaniem nie mogą sobie poradzić, płaczą, buntują się. Ale ja nie ustępuję. Chodzi mi bowiem o to, by nauczyli się na prostym przykładzie budować własny podtekst aktorski. By poprzez zwykły opis sprzętów przemówiły jakieś ich uczucia lub nastroje. A potem przyjdzie czas na Hamletów, Balladyny, Kordianów.

Trzeba tu zaznaczyć, że mimo tych trudnych wymagań Modrzewski należy do pedagogów szczególnie lubianych przez młodzież. Umie ona bowiem ocenić uczciwość i pasję, z jaką stara się przekazać słuchaczom wielką wiedzę i doświadczenie. Bez reszty, niczego zazdrośnie nie ukrywając.

Nie chodzi tu o jakiś panegiryk, ale i to jest faktem, że Modrzewski służyć może jako wzór dobrego kolegi i zdyscyplinowanego pracownika teatru. Trzyma się z dala od plotek, tak nagminnie pleniących się na teatralnej łączce, nie kieruje się zawiścią jest zawsze gotowy służyć koledze radą i pomocą. Na ten temat nie udzielał mi oczywiście informacji sam jubilat, pochodzą od jego najbliższego otoczenia.

Natomiast od Modrzewskiego wysłuchałem wielu pochlebnych ocen w odniesieniu do teatru, w którym pracuje od 1945 roku. Na przestrzeni dziewiętnastu lat teatr ten przeżywał różne okresy, swoje wysokie loty (Schiller) i chwilowe upadki.

— Uważam że obecne kierownictwo Teatru im. Jaracza stworzyło w naszym zespole właściwą atmosferę. Atmosferę pracy i służby teatrowi bez reszty. Taką atmosferę cenię sobie najwięcej.

Tak mówi Henryk Modrzewski o swoim teatrze. Nam zaś wypada z okazji obchodzonego w dniu 15 lutego 1964 roku jubileuszu 45-lecia pracy aktorskiej, przypomnieć widowni łódzkiej niektóre przynajmniej role, w jakich mogła go oglądać.

A więc Malvolio w „Wieczorze Trzech Króli" Szekspira i Wicherkowski w „Domu otwartym" Bałuckiego (1950), Łuka Łukicz w „Rewizorze" Gogola (1952), Sędzia Wyduś w „Sędzim w potrzasku" Fieldinga i Inkwizytor w „Don Carlosie" Schillera (1956), Komandor Blakely w „Buncie na okręcie Caine" Wouka (1960), Dyndalski w „Zemście" Fredry (1960—1961).

Galeria charakterystycznych postaci ciągnie się aż po dzień dzisiejszy, który zastaje Henryka Modrzewskiego, nie bacząc na nieświetny stan zdrowia, wciąż aktywnym na scenie. Jubileusz swój obchodzi w roli Kardynała Marcanovy w „Malateście" Montherlanta.

Spotkania publiczności z Modrzewskim na tym się jednak nie kończą. Kino! Od wielu lat jest on przecież aktorem filmowym. Już przed wojną nakręcił dziesięć filmów, ale po wojnie — około trzydziestu. Rozpoczynając od niezapomnianych „Zakazanych piosenek", a kończąc na epizodzie Profesora w wyświetlanym obecnie na łódzkich ekranach filmie „Dwa żebra Adama".

Niespożyte siły, niewyczerpana energia, wielkie serce — oto Henryk Modrzewski!

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

rozmowy z pisarzami

STANISŁAW CZERNIK

Właśnie „spotkania", a nie „rozmowa". Nie dlatego bym aspirował do jakiejś szczególnej zażyłości z autorem „Domu pod wierzbami". Nie! Mimo że tych spotkań było wiele w ciągu ostatnich kilkunastu lat: i w jego własnym domu, i zupełnie przypadkowych. W tramwaju spotykałem go najczęściej późną, gorącą wiosną lub latem, o poranku: wówczas Stanisław Czernik miał na sobie — nieodmiennie — ciemną koszulę bez krawata, a w ręku mały, szkolny zeszyt, czasem książkę. Jechał do julianowskiego parku. Mówił, że tam mu się najlepiej pisze.

Oto spotkania w sensie najbardziej potocznym. Ale rzecz tyczy pisarza, więc były i są spotkania ważniejsze: z jego książkami. Słownik Pisarzy Polskich wymienia około 40 jego publikacji. Podobną liczbę podaje i antologia włoska, nader starannie ostatnio wydana, której tytuł w spolszczeniu brzmi: „Współcześni poeci polscy", gdzie pod hasłem „Stanisław Czernik", w nocie informacyjnej, poprzedzającej przekłady jego wierszy, czytamy m. in. „poeta i teoretyk". Napotykamy tam także termin „autentyzm". Rzeczywiście, w kręgu czytelników, wnikliwiej zajmujących się literaturą, Czernik znany jest jako „autentysta". Wiadomo też, że program „autentyzmu" Stanisław Czernik sformułował przed mnogimi laty w wydawanej przez się „Okolicy Poetów".

Dla czytelnika programy artystyczne mają o tyle wartość o ile znajduje on ich weryfikację w dziełach twórcy: np. w jego wierszach, powieściach. Cała twórczość Czernika poświadcza wierności wobec skonstruowanego przezeń ongi pisarskiego programu.

Można w oparciu o arystotelesowską zasadę „inductio per enumerationem simplicem" rzec, że „autentyzm" to „wierność wobec własnej biografii", lub inaczej: „postulat niewykraczania poza doświadczenia pisarza", jeszcze inaczej: „dyrektywa pisania tylko o tym, co się przeżyło". Taka interpretacja jest zgodna z pisarskimi intencjami Czernika.

— Biografia, doświadczenie — pytam Czernika — no tak, ale jakie są granice naszej biografii i doświadczeń? Jak je określić? Jeśli, najogólniej rzecz biorąc, postulatem „autentyzmu" jest nie wykraczać w tym, co się pisze, poza to, co się naprawdę przeżyło, — jak wyznaczyć granice biografii, które pisarz winien respektować?

Czernik odpowiada, że chodzi mu o „biografię wewnętrzną". Z tego co mówi wynika, że „biografia wewnętrzna" — to terytorium rozległe, zgoła nieobeszłe, a przy tym stale ruchome, zmienne. Boć mieści ona w sobie i własne przeżycia i zauważone lub wyobrażone przeżycia obcych ludzi, bezustannie uzupełnia ją i modyfikuje każdy dzień, godzina: fakty fizyczne i emocjonalne, lektura — to wszystko, co percepuje, związany „na amen" z rzeczywistością.

Nie wykraczać, pisząc, poza biografię wewnętrzną — to, mówiąc najlapidarniej, nie pisać o tym, czego się nie przeżyło: w sensie potocznym i w imaginacji. Nie wykraczać także poza pojęte w tenże sposób przeżycia innych ludzi.

Ta eksplikacja utwierdza mnie w mniemaniu, że „autentyzm" to przede wszystkim pisarska dyrektywa etyczna. Można by ją prosto, choć banalnie, ująć w formułę: „Rzeczywistość zobowiązuje".

Zazwyczaj pisarze, którzy dużo piszą, mało mówią o tym, co i jak piszą: co było do powiedzenia — zostało napisane, co jest do powiedzenia — zostanie napisane. Czernik mówi mało i oględnie, bardzo powoli: staranna i spokojna dbałość o to, by każde zdanie odpowiadało dokładnie temu, co chce powiedzieć. Zbieżność stylistyki: tej, z jego książek i tej, „mówionej", w sposób dla mnie, „prowadzącego wywiad", cenny — to tu, to tam odsłania źródła swej pisarskiej inspiracji. Te skąpe relacje nabierają pełnego znaczenia, stają się — mimo ich „towarzyską powierzchowność" — wymowne tylko wówczas, gdy się je zestawi w myśli z jego książkami.

Myślę o wizualnej tożsamości chłopskiego obejścia spod Opatowa, które poznajemy w **Domu pod wierzbami** i Wiśniowej Góry, gdzie toczy się akcja **Ręki**. Również o jakiejś psychicznej tożsamości pradziada Grzegorza w **Ręce**, chłopca — narratora w **Domu pod wierzbami** i Michała w wydanej przed 28 laty **Goryczy**.

Mówię, że sprawozdanie z „biografii wewnętrznej", notowanie jej w wierszach lub powieściach, jest zawsze kreacją. Tak, z tym Czernik się zgadza. Komunikowanie „biografii wewnętrznej" dokonuje się w trybie kreacji. Musi być „porte-parole", jakiś model (niedorostek lub pradziad), który by ją w utworze literackim prezentował.

— No i mniej lub bardziej świadomie wybrana konwencja artystyczna — dodaję.

CZERNIK: — Oczywiście — chodzi tylko o to, by była to konwencja pisarska najbardziej adekwatna w stosunku do naszej biografii wewnętrznej. By mogła ją najpełniej, najlepiej wyrazić, by do niej przylegała.

W ten sposób wchodzimy w obręb spraw, które starał się uporządkować Eliot w swym eseju „Tradycja i talent indywidualny".

CZERNIK: — Nie, nie jestem tradycjonalistą — choć pisarz musi znać i przeżyć to, co przed nim napisano. Tradycja jest szkołą pisarstwa. Rzecz jasna, są pisarze, których zawsze „mocno przeżywam" i inni, których „tylko poznaję", bo trzeba ich znać. Ot, dla przykładu, zawsze mocno przeżywam Kochanowskiego i Norwida. Kochanowski jest mi bliższy niż Mickiewicz. Kochanowskiego dobrze rozumiem i dobrze czuję. Mickiewicz był dla mnie zawsze jakiś dalszy.

— No, a eksperyment literacki? — podchwytuję. — W końcu jest przecież także jakąś „dziejącą się tradycją". Poza tym między emocjonalnym impulsem do napisania „czegoś", a wybraną w tym celu przez pisarza formą nie zachodzi prosty stosunek przyczynowy. Wszak często tzw. poszukiwania formalne, dokładniej: nowatorstwo formalne inspiruje to, czego jeszcze w chwili poszukiwań „w pisarzu" nie ma: np. jakieś problemy etyczne, społeczne...

Czernik przystaje na tę oczywistość. Chodzi mu tylko o to, by eksperymenty formalne nie były „fantazjotwórstwem papierowym". Takiego właśnie użył określenia: „fantazjotwórstwo papierowe". To znaczy na nic nie zdają się takie „poszukiwania formalne", które w efekcie nie przynoszą ani bardziej sugestywnej formuły dla tego, co chce się powiedzieć, ani też nie wywołują nowych, „autentycznych" przeżyć. Niczemu nie służą, są czcze.

Hm, „autentyczne przeżycia" to — jak na mój gust — wyrażenie nieco niedookreślone. Można by je zastąpić powiedzeniem „przeżycia serio", ale będzie ono także nieprecyzyjne. Chyba najbliższy intencjom autora „Goryczy" byłby termin „przeżycie istotne, coś dające, ważne". Mniej więcej w tym znaczeniu, w jakim Kierkegaard mówił o „egzystencji etycznej i estetycznej".

Postulat artystyczny opiera się tu znów o dyrektywę moralną. Formuła pisarska realizuje credo etyczne.

CZERNIK: — Żałuję, że nie skończyłem filologii polskiej — (uważając widać, że temat: „tradycja a nowoczesność" został wyczerpany).

— A po cóż panu filologia polska? — pytam z prawdziwym zdziwieniem i po chwili już orientuję się, że termin „filologia polska" jest tylko symbolem spraw, które go nurtują.

CZERNIK: — Bo widzi pan, ja, owszem, mogę rozmawiać o literaturze z profesorami uniwersytetu, przecież znam ją wcale nieźle, ale to zawsze będzie tylko amatorszczyzna. Wydaje mi się, że od początku byłem za bardzo rozproszony. Chociażby w tym, co napisałem: i wiersze, i powieść obyczajowo-psychologiczna, i powieść historyczna, i książki quasi teoretyczne, i recenzje...

Pamiętam, choć nie przypominam mu tego teraz, jak przed dziesięciu laty, w czasie jakiegoś wieczoru sylwestrowego, powiedział do mnie: „Jaka szkoda, że nie przeszedłem systematycznego kursu filozofii. Bardzo by mi się teraz taki przydał".

— Może jednak — podsuwam — to nie „rozproszenie", a potrzeba wszechstronności. Po prostu wielostronność zainteresowań.

CZERNIK: — Może? — zastanawia się niepewnie. I, jak gdyby chciał się w tym nowym przekonaniu utwierdzić, dodaje z ożywieniem. — **Bo na przykład historia. Zawsze mnie pociągała i pociąga, ale historia „w ogóle". Dajmy na to, nie umiałbym być mediewistą: zajmować się tylko historią średniowieczną — to byłoby dla mnie „za ciasne".**

— A Pańskie zainteresowanie folklorem? — pytam.

Okazuje się, że tkwi ono właśnie w tym „rozproszeniu" lub raczej (moim zdaniem) we wszechstronnej ciekawości. Oczywista, istnieją także dające się wyraźnie określić przyczyny owej fascynacji: przede wszystkim to, że folklor był artystycznym środowiskiem Czernika w dobie jego dzieciństwa i wczesnej młodości. Tak mówi Czernik. Co do mnie, przypuszczam, że zainteresowanie folklorem, potwierdzone w wielu jego książkach, jest jeszcze czymś innym: mianowicie osobliwą transpozycją problemu, który ustawicznie absorbuje autora **Drabiny do gwiazd**. Jeden z rozdziałów **Domu pod wierzbami** nosi tytuł: biografia nostalgii. Książki Czernika o folklorze odczytuję właśnie jako swoisty komentarz do tej biografii nostalgii. Szczególna sprzeczność: dom pod wierzbami, który się kocha, ale w którym nie sposób osiągnąć to, czego się pragnie — i „świat", w którym można czynić, co się pragnie, czytać i pisać, płacąc za realizację swych pragnień tęsknotą do domu, tego właśnie domu pod wierzbami — oto wyraźna obsesja w prozie i poezji Czernika. Wystarczy przeczytać chociażby wydaną ostatnio nagrodzoną **Rękę**.

Jaki wpływ wspomniana sprzeczność wywarła na ukształtowanie się koncepcji „autentyzmu", pisarskiej dyrektywy etycznej, postulującej wierność wobec przeżyć (a można ją przełożyć na „wierność wobec wspomnień") — to już sprawa psychologii twórczości. Osobiście sądzę, że niemały.

Wszechstronność zainteresowań, na którą skarży się Czernik, bocząc się na nią, że go „rozprasza", prowokuje mnie do pytania, co sądzi o potęgującej się specjalizacji zawodowej: wszak już w 1929 roku Ortega y Gasset widział w niej główne niebezpieczeństwo dla naszej cywilizacji. Owa profesjonalizacja, powodowana i utwierdzana przez gwałtowny rozwój nauki i jej autorytetu wywiera widomy wpływ na sztukę, literaturę. I na pana — dodaję.

Stanisław Czernik z sympatią odnosi się do dominacji nauki.

CZERNIK: — To koniec końców wychodzi na dobre literaturze. Wiele doktryn „popycha" ją naprzód. Freudyzm, psychologia Junga! Ot chociażby psychologia Junga! — powtarza.

Te sympatie są dla mnie jasne. Rzeczywiście, Junga sporo jest i w **Ręce** i w **Domu pod wierzbami**.

Widzę, że wsuwając rękę pod stolik, dyskretnie zerknął na zegarek. Ja też spojrzałem. O la, la! Zasiedziałem się. Czas żegnać towarzyszącą naszej pogawędce gościnną Panią domu i jego Gospodarza. Z myślą o tym, wpadam bezwiednie w stereotyp: — Nad czym Pan teraz pracuje?

CZERNIK: — Mam sporo notatek z dawnych i bliższych lat. Trzeba je uporządkować: zbiór opowiadań. Tak, mam już tytuł. NOWINA. Część złożyłem już w „Wydawnictwie Łódzkim". Nie, nie wierzę w kryzys powieści — dodaje po namyśle — tylko, że współczesna powieść musi być „eseistyczna".

— A wiersze? — pytam.

CZERNIK: — Wierszy nie piszę od trzech lat. Poezja to jednak przywilej młodości.

Oponuję. Przywołuję w sukurs znakomity „Stress życia": — Hans Selye jest bardziej optymistyczny.

CZERNIK: (uśmiecha się pobłażliwie): — To się tylko tak mówi. Chociaż... zapewne będę jeszcze pisał wiersze... (gdy żegnam się, już na progu pyta zatroskany):

— Ale jak pan sobie z tym wszystkim da radę...

Przypuszczam, że mówi nie o naszym parugodzinnym spotkaniu, lecz o kilkudziesięciu książkach, jakie napisał, o tych, które chce jeszcze napisać. Przypuszczam też, że za parę miesięcy znów, jak przed laty, spotkam go w łódzkim tramwaju, w drodze do julianowskiego parku, gdzie wiosną i latem pisze mu się najlepiej.

Rozmowę przeprowadził:
MIROSŁAW OSTOJA OCHOCKI

Stanisław Czernik w karykaturze Tytusa Czyżewskiego.

KRYSTYNA WOJTASIK

Forsowanie FARSY

„Lekarz mimo woli" jest farsą i tylko farsą, co prawda, jak stwierdzają autorytety, arcydziełem farsy: Molier stopił w niej po mistrzowsku wątki i tradycje starej farsy francuskiej i włoskiej commedia dell'arte. Ale to mistrzostwo nie jest w stanie przesłonić faktu, iż powstała ona w wieku XVII, na gruncie zupełnie odmiennej od naszej obyczajowości i dla ludzi o zupełnie innym, rzec można — grubszym, poczuciu humoru niż nasz, dla których bicie kogoś kijem na scenie stanowiło niezawodny powód do śmiechu. Kij, ów nieodłączny atrybut farsy przedmolierowskiej i molierowskiej, jakoś nas dzisiaj nie bawi, zepsuci „podtekstami" każdego gatunku dramatycznego, podświadomie może, pragniemy go się wszędzie doszukiwać, mało tego, znajdować, i nie może nas zadowolić ani zjadliwa satyra na lekarzy ani pokrzykiwania Jagusi, że „tylko lubość"... To ostatnie dawno już zostało dowiedzione, potwierdzone i wprowadzone w życie przy zawieraniu małżeństw, a medycyna dzisiejsza nie ma nic wspólnego z tamtą, tkwiącą w średniowiecznych pojęciach medycyną, z którą zetknął się chory Molier, posługującą się jedynie lewatywą, krwiopuszczaniem i szarlatanerią jako dopełnieniem.

I dlatego ta zabawa dla zabawy, jaką jest „Lekarz mimo woli", wbrew pozorom i chęciom realizatorów spektaklu, którzy właśnie chcą przede wszystkim bawić swoją masową publiczność (jak stwierdzają w programie do sztuki) jest w gruncie rzeczy trudna w odbiorze dla widza, a w wykonianiu dla aktora, będąca raczej po zycją dla znawcy teatru i smakosza świadomego wszystkich jej powiązań, rodowodu i — wielkości autora, który na ten wybuch błazeńskiego humoru pozwolił sobie już po stworzeniu „Świętoszka", „Don Juana" i „Mizantropa".

Uznając ambicje Teatru 7.15 obierającego sobie za patrona wielkiego twórcę nowożytnej komedii i przyjmując do wiadomości, choć z pewnym sceptycyzmem „farsowy program" sceny pod nową dyrekcją (czy tych „artystycznie ambitnych" fars wystarczy?!) powiedzmy jeszcze o samym spektaklu, że jest on owocem starannej pracy reżysera, którego pomysłowość, równie jak wysiłki wykonawców, ograniczyły nadmierną szczupłość sceny i niezbyt szczęśliwie rozlokowane elementy dekoracji. Te dwie przyczyny sprawiły, że błazenadom, gonitwom, bójkom, a nawet „zwykłemu" poruszaniu się aktorów zabrakło niezbędnych tu lekkości i rozmachu, poza jedną brawurową sceną Sganarela kołyszącego się wysoko na „szubienicy". Ryszard Dembiński jako Sganarel nas nie zawiódł, a naprawdę rozśmieszył Ryszard Stogowski jako Piotrek.

Można by jeszcze zapytać dlaczego reżyser kazał nałożyć aktorom na twarze tradycyjne maski, skoro wiadome jest, że Molier zrezygnował z nich już w pierwszych swych sztukach (a „Lekarz mimo woli" jest jedną z jego sztuk ostatnich) zezwalając jednocześnie na wprowadzenie piosenek (literaturą — nie są), których melodie brzmią bardzo współcześnie. Trochę w tym niekonsekwencji.

Teatr 7.15. „Lekarz mimo woli" Moliera. Inscenizacja i reżyseria Jerzy Walden, scenografia Marian Stańczak, muzyka Piotr Hertel, piosenki Janusz Słowikowski.

POLONICA

PREKURSOR WITKACY

Mieszkający w Belgradzie tłumacz „N'enasycenia" St. Ignacego Witkiewicza, Stojan Subotin, pisze monografię poświęconą temu pisarzowi, który po wojnie przeżywa swoisty renesans. Stojan Subotin twierdzi, na podstawie znajomości innych dzieł Witkiewicza, a zwłaszcza dramatów, że wprowadzenie Witkacego na rynki zagraniczne będzie prawdziwą rewelacją. Okaże się wtedy, że tzw. awangardowa dramaturgia współczesna ma swojego poprzednika w Witkacym pisującym na grubo przed drugą wojną światową utwory, które dziś uprawiają Ionesco, Beckett i inni.

KONCERT HEGLISTÓW

W dniach od 6 do 11 września br. odbędzie się V Międzynarodowy Kongres Heglistów w Salzburgu (Austria). W programie kongresu przewidziane są wykłady i referaty na tematy estetyki, filologii i muzykologii w oparciu o filozofię Hegla. M. in. zapowiedzieli swój udział i referaty Georgy Lukacs (Węgry), Jean Hyppolite (Francja), Anatolij Jegorow (ZSRR) i Zofia Lissa (Polska).

SKROWACZEWSKI W RADIO WIEDEŃSKIM

Piąty koncert w cyklu muzycznym radia wiedeńskiego prowadził dyrygent polski Stanisław Skrowaczewski. Wśród utworów grane było „Concerto na orkiestrę" Witolda Lutosławskiego — utwór zaliczany do tzw. nowej muzyki. Prasa austriacka pisze w superlatywach o talencie dyrygenckim Skrowaczewskiego, natomiast bez entuzjazmu odniosła się do utworu Lutosławskiego. Nie należy się temu zbytnio dziwić. Austriacy są ostrożni, a nawet nieco konserwatywni w stosunku do wszelkich nowości, i to zarówno w muzyce jak i w teatrze.

TOMASZ MANN I POLSKA

Nakładem Fischer-Verlag we Frankfurcie nad Menem ukazały się dzieła Tomasza Manna w czternastu tomach (cena polska całości 2 700 zł). Wydane na pięknym papierze, w trwałej oprawie i celofanowej obwolucie, zawierają opowiadania, powieści oraz cztery pękate tomy esejów, przemówień i szkiców Tomasza Manna. Wśród mów, przez autora „Czarodziejskiej góry" wygłoszonych, znajduje się również jego przemówienie z kongresu PEN-Clubu w Warszawie w 1924 roku. Warto przypomnieć co wówczas Tomasz Mann powiedział o Polsce: „Polska! Nie chciałbym zagubić się w romantycznych skojarzeniach, które dla każdego Europejczyka a więc i dla Niemca budzi wymówienie jej imienia, w wyobrażeniach jej historycznych cierpień, jej dumy i umiłowania wolności i rycerskości. Znacznie ważniejszą jest idea, która w moim pojęciu wiąże się dziś z imieniem Polski: to idea zachodnio-wschodniej syntezy, idea porozumienia i likwidacji ogromnych i pełnych napięcia sprzeczności dzisiejszego świata".

Słowa Tomasza Manna nic nie straciły ze swej aktualności.

POEZJA POLSKA W ZSRR

Nadeszła wreszcie do Polski i od razu została wykupiona antologia poezji polskiej, wydana w ZSRR w dwu tomach i obejmująca autorów od Jana Kochanowskiego do Leona Pasternaka. Niestety, wypadnie nam ze smutkiem stwierdzić, że nie ma w niej ani jednego utworu łódzkich poetów. Szkoda.

NOWA KSIĄŻKA ROMANOWICZOWEJ

Zofia Romanowiczowa autorka dwu znanych i cieszących się w Polsce powodzeniem powieści: „Baśka i Barbara" oraz „Przejścia przez Morze Czerwone" wydała obecnie w Paryżu trzecią powieść „Słońce dziesięciu linii", która zapewne ukaże się wkrótce również u nas w kraju. Do tej nowej powieści Romanowiczowej jeszcze powrócimy.

JAN HUSZCZA

Spotkanie z białoruskim poetą

Ujmując rzecz w grubym uproszczeniu, stroniąc od szczegółów, można powiedzieć, iż pierwszymi pisarzami białoruskimi byli: Dunin-Marcinkiewicz, Franciszek Bohuszewicz, Janka Łuczyna.

Szlachcic Dunin-Marcinkiewicz (1807—1884) pisał po polsku i po białorusku, przełożył PANA TADEUSZA i wydał w 1859 roku, był autorem libretta SIELANKI, napisanej specjalnie dla Moniuszki.

Uczestnik powstania styczniowego, adwokat Franciszek Bohuszewicz jest jako Maciej Buraczok autorem BIELARUSKAJ DUDKI, popularnego choć tępionego przez carską cenzurę zbiorku wierszowanych gawęd i przypowieści o motywach wziętych z ustnego folkloru.

Janka Łuczyna-Niesłuchowski, inżynier kolejowy z zawodu, pisał wiersze po białorusku, po polsku i po rosyjsku, najchętniej zaś tłumaczył utwory Syrokomli.

Dzięki właśnie i tym literackim przodkom tak interesująco w późniejszym okresie rozwijała się twórczość dwóch klasyków nowszej literatury białoruskiej, poetów i prozaików: Janki Kupały-Łucewicza i Jakuba Kołasa-Mickiewicza, którym jeszcze przed pierwszą wojną sprzyjał Maksym Gorki, przyjaciel i uważny obserwator literatur narodowych.

Przypominam sobie z wileńskich lat studenckich, iż wśród licznych korporacji istniała przez jakiś czas i „Skorynia". Należeli do niej studenci — Białorusini.

Kim był jej patron? Franciszek Skoryna, tłumacz Biblii na język białoruski, urodził się w Połocku. Odbył studia w Krakowie (1504—1506), a następnie w Padwie i powrócił na Białoruś. Był wybitnym działaczem — pisarzem, wydawcą i tłumaczem w jednej osobie, pracował nad kształtowaniem białoruskiego języka literackiego, założył — ok. 1525 roku — pierwszą białoruską drukarnię.

Ale nie ci studenci ze „Skorynii" zasługiwali na uwagę. W Wilnie wychodziły pisemka białoruskie, oczywiście, pozbawione trwalszych podstaw materialnych, wiodące dość ubogi żywot, domagające się jednak praw narodowych, kształtujące świadomość, jak „Szliach mołodzieży"(„Szlak młodzieży")... Pisemka te drukowano raz szryftem łacińskim, kiedy indziej zaś, częściej — grażdanką. Do Wilna ciągnęli poeci białoruscy, wydając w tym mieście tomiki wierszy, akcenty urbanistyczne u tych poetów wyczerpywały się w opiewaniu tego właśnie miasta.

Prawie od razu zwrócił na siebie uwagę białoruskiej i polskiej społeczności Maksym Tank (pseudonim Eugeniusza Skurko), ur. w 1912 roku we wsi Pilkowszczyźnie w pobliżu jeziora Narocz. Rybakom, wodom i pejzażom poświęcił długi poemat NAROCZ, zawierający nutę protestu i buntu.

Drukował Tanka w oryginale polski dwutygodnik „Po prostu", poeta był zaproszony na występ autorski do Pen-Clubu w Warszawie, w „Pionie" ogłosił o nim entuzjastyczny artykuł Jerzy Putrament.

Pierwszy tom wierszy Tanka, częściowo skonfiskowany, nosił tytuł streszczający w sobie przeżycia więzienne — ETAPY. Ukazał się w Wilnie w 1936 roku.

Następnymi zbiorkami były: ŻURAWINOWY KWIAT (1937), POD MASZTEM (1938).

Pisał w tych książkach o niedoli wsi, optymistycznie jednak ukazując drogi wyjścia z tej niedoli poprzez walkę. Był poetą czerpiącym inspirację z życia białoruskiego, ze swego otoczenia, z pejzażu. Przykładem takiego wiersza może być choćby „Cisza dróg": we mgle jesieni, w której moknąą ręczniki rżysk — poeta słyszy głosy ludzi, koni i opitych dziegciem osi, poeta chce pieśni wreszcie weselszej, może nawet tej — o ostatniej walce, żeby rosochate wierzby odjeżdżającym zakiwały głowami...

Znajomość rodzimego folkloru w sposób wyrazisty przejawia się w bajkach. Najbogatszą z nich jest chyba bajka o sierocie Muzyce.

Tank wiele zawdzięcza oczytaniu w poezji polskiej i rosyjskiej. Cechuje jego twórczość dobitna o ludowym rodowodzie obrazowość i zmysłowość, humor. Często zdarzają się w jego zbiorkach i wiersze retoryczne, jednak ich wymowę osłabia niekiedy deklaratywność, dużo w nich znajdujemy tkanek martwych.

Liryk i epik żywi się przede wszystkim pejzażem wiejskim, czerpie z przyrody, co jest zrozumiałe, ale nie stroni i od opiewania swoich miast. Jego twórczość towarzyszy zarówno sprawom politycznym i społecznym, jak i powszednim. Dużo podróżuje, czego liczne ślady znajdujemy w wierszach, poszerzających krąg tematyczny. Wiejski lirnik staje się wspomnieniem lub tylko inwokacją. Tank jest poetą o lirze wielostrunnej.

W jego dorobku często obcujemy z tematyką polską, tłumaczył polskie wiersze.

U nas Tank, jest pisarzem dość znanym, przekłady jego utworów należą do T. Chróścielewskiego, Z. Fedeckiego, L. Lewina, J. Putramenta i wielu innych.

Wybitny i płodny poeta cieszy się — obok Piatrusia Browki, Ark. Kuleszowa, Pimena Panczenki — wielką popularnością nie tylko na Białorusi. Pełni wiele funkcji społecznych, jest redaktorem miesięcznika literackiego „Połymia" („Płomień").

Z okazji 45 rocznicy proklamowania BSSR odwiedził ostatnio na czele delegacji białoruskiej także i Łódź.

Był w naszym mieście nie po raz pierwszy i, miejmy nadzieję, nie po raz ostatni.

Jego spotkanie z łódzkimi pisarzami było spotkaniem ze starymi przyjaciółmi.

ŻEROMSKI

„Formalnie Żeromski nie należał do żadnego ugrupowania. Zwalczał zło i krzywdę ludzką. Ale jest wrogiem wszelkiej rewolucji". To fragment wypracowania uczniowskiego o Żeromskim. Tak się zaczyna Rok Żeromskiego. Niewesoło. Ale chyba dobrze, że tak właśnie. Od zbadania — a zbadania owego podjęła się „Kultura" — co o Żeromskim myślą ci, którzy o nim w szkole uczą. I co o nim wiedzą ci, których o Żeromskim się uczy i którzy od Żeromskiego czegoś powinni się nauczyć. Którzy Żeromskiego czytać muszą, czy chcą czy nie chcą. Nauczyciele i uczniowie. Gdy już będziemy wiedzieć, na ile dzieło Żeromskiego może być przydatne w kształtowaniu postaw młodzieży (a i w kształtowaniu — co równie przecież ważne — smaku artystycznego), przyjdzie zapewne czas na przewartościowanie sądów obiegowych i sądów krytyki. Czas na dyskusję o tym, ile się ostało, i co się ostało i jak się ostało. Tu i teraz, oczywiście, bo co się ostanie i co za lat, powiedzmy, pięćdziesiąt, będzie czytane, tego nie wiemy. A ostało się zapewne wiele i zapewne — jak zwykle — nie to, co się ostać miało i czemu niegdyś wróżono długi żywot. Język Żeromskiego miał — i ma nadal — swych wielbicieli, adoratorów nawet. Ale warstwie językowej powieści Żeromskiego nie wróżono nigdy chyba (choć się i zachwycano) długiego życia. Długi żywot wróży się zazwyczaj powieściom napisanym językiem wnikliwym, językiem suchym i prostym, językiem, którego się nie zauważa (choć nie wiadomo wówczas, co zrobić, tak wróżąc, z Homerem: i wróżby tu już na nic, bo żywot tych p o w i e ś c i pewnie wieczny). Mówiąc o języku Żeromskiego, mówiło się natomiast od dawna — a i mówi się nadal — o żeromszczyźnie, o manierze, o języku przepoetyzowanym i nadmiernie obciążonym metaforyką. Byłaby to niespodzianka, gdyby nagle się okazało, w owych dyskusjach (których mieć będziemy zapewne wiele) przewartościowujących stare sądy, że język się ostał, choć przepoetyzowany. Przepoetyzowany, a przecież ojczysty, schodzący w głąb, między korzenie, ku źródłom, ujawniający zatopione w lawie słów języka potocznego zamierzchłe symbole, archetypiczne wzorce. I byłaby to niespodzianka, gdyby to, co się nadal żywe nam zdaje (bo na co dzień Żeromskiego nie czytamy), okazało się już martwe: myślę o wzorcach postaw, o modelu kulturowym, stworzonym przez pisarza, modelu, w którym wzorce te mogłyby być realizowane i powtarzane, o dokumentalnej wartości tej prozy. Nie wróżmy jednak, poczekajmy. Rok Żeromskiego przed nami. I na razie odnotujmy tylko to, co w ostatnim (a pierwszym tegorocznym) numerze „Nowych Książek" pisze o Żeromskim Adam Klimowicz. Godząc się lub nie godząc, warto nad tym pomyśleć:

„Trudno byłoby dziś przekonać kogokolwiek, że zachowały aktualność społeczne postulaty Żeromskiego, wyrażone w takich postaciach, jak Judym lub Nienaski, łatwiej natomiast wykazać przy ich pomocy bezradność pisarza, który bardzo krytycznie patrzył na swoją współczesność, a lękał się radykalnych środków uzdrawiających, których uboczne skutki mogłyby zniszczyć pewne wartości, szczególnie mu drogie. Ale wśród utopijnych pomysłów, czasem także w nie udałych utworach odzywa się stale jeden motyw bardzo nam bliski. (...) To motyw wierności człowieka samemu sobie, swoim zasadom, swojemu poczuciu obowiązku wobec innych ludzi, u Żeromskiego silny aż do obsesji i zbliżający go nieoczekiwanie do najnowszych pisarzy na Wschodzie i Zachodzie, którzy pod wpływem przeżyć ostatniej wojny tak uparcie analizują ten sam problem, choć często z zupełnie różnych pozycji filozoficznych".

BRONIEWSKI

Kto mówi o Żeromskim, mówi i o Broniewskim, nici łączące twórczość autora „Ballady o Placu Teatralnym" z twórczością Żeromskiego były i są widoczne. („Od lat, od lat — pisał Broniewski — u stóp teatru misterium dziejów gra się krwawe", a także „Pamiętam swą nienawiść dotąd, pamiętam kopyt dzikich stuk"), choć inne były punkty dojścia. O Broniewskim, w drugą rocznicę śmierci poety, pisze w „Kulturze" Grzegorz Lasota. O Broniewskim pisano u nas wiele i bez namysłu, Lasota pisze z namysłem, i to o tych stronach tej poezji, o których rzadko się mówi: radzę przeczytać.

MARTYROLOGII CIĄG DALSZY

W tym samym numerze „Kultury" Krzysztof Teodor Toeplitz wspomina w felietonie „Martyrologii ciąg dalszy" tekst Okopienia, wydrukowany w „Polityce". I myśmy ten tekst wspominali.

„Szkoda tylko — pisze Toeplitz — że autor nie dodał, że panuje u nas również oszczędnościowy zwyczaj rozrzucania składów wydawanych książek po to, aby nawet w obliczu niewątpliwego sukcesu nie można ich było błyskawicznie wznowić".

Pytanie więc, czy w Roku Żeromskiego będziemy czytać Żeromskiego? Być może, składy zostały rozrzucone?

Boileau

fraszki jana Czarnego

O SZCZĘŚCIU

Albo zaszczyty, albo zaszczuty...
szczęście się zawsze mierzy na łuty.

TO...

To historycznie stwierdzone!
Napoleon nie jadał napoleonek.

Notatnik kulturalny

PONIEDZIAŁEK

Chodzę po tym mieście już tyle lat — oglądam ulice i domy, w kręgu których żyją ludzie czytający książki i ludzie słuchający radia, ludzie malujący obrazy i ludzie piszący książki, ludzie oglądający wystawy malarstwa i ludzie oglądający wystawy sklepowe — konsumenci parówek i konsumenci kultury. Dla których pisać ten diariuszkronikę wydarzeń i kronikę refleksji? A może dla jednych i dla drugich? Dla konsumentów kultury jedzących parówki i dla konsumentów parówek trawiących kulturę? Jednych i drugich mijam na ulicy, spotykam w tramwaju i nie raz mam ochotę zawołać — człowieku, zgadzam się z tobą, albo człowieku, z tobą się nie zgadzam. Może zechcą mnie wysłuchać. Spróbuję.

WTOREK

„Hrabina Bosonoga Cejlońska", czyli Mumia w Badewannie. Tragedyjka w jednym akcie — nieznany dramat Stanisława Ignacego Witkiewicza. „To wszystko wymyślił poeta Stanisław Grochowiak, a Teatr Prób przy RO ZSP pięćzołowicie w reżyserii p. Głoskowskiego — aktora profesjonalnego — wystawił. Urokliwy — po witkacowsku bełkotliwy pastisz, gdzie kamerdyner nazywa się Fizdacjusz, a dramatis personae mówią do siebie per „ty kobietonie" wymaga od widza poczucia humoru i biada tym, którzy zechcą rzecz całą traktować zbyt serio. Zabawił się autor, zabawili się aktorzy — więc niech widzowie, którzy 18 lutego przyjdą obejrzeć wystawioną powtórnie „Hrabinę Cejlońską" — nie szukają w tym zabawnym pastiszu ukrytych znaczeń.

ŚRODA

No cóż, nie było to chyba posunięcie fair. Otóż w pierwszym programie Polskiego Radia nadano na dzień przed łódzkim występem znakomitego dyrygenta Igora Markevitha i orkiestry symfonicznej ze Skopje koncert w wykonaniu tejże orkiestry i pod dyrekcją tegoż dyrygenta. Oczywiście program radiowego koncertu był identyczny z programem zapowiedzianego koncertu w Filharmonii. To prawda, że radio nie ma obowiązku uzgadniać terminów swych koncertów z filharmoniami, ale coś tu chyba nie zagrało. Nie wydaje się jednak, żeby radiowy koncert był przyczyną, że ponad 300 miejsc świeciło na występie Markevitha pustką. Jesteśmy często głupio snobistyczni i często szafujemy na punkcie czwartorzędnego artysty z Paryża czy Nowego Jorku, a potrafimy przeoczyć gwiazdę o swojsko brzmiącym nazwisku.

CZWARTEK

Ambitne dzieło literackie jest obrazem konfliktów i w konflikcie muszą się ścierać różne prawdy i różne postawy. To oczywiste. Ale nie dla każdego. Nieraz instytucje odpowiadające za losy kultury nie chcą uznać ambitnego, zaangażowanego dzieła, jeśli zawiera ono momenty krytyki. Rodzi się paradoksalna sytuacja — na skutek ostrożności, z jaką podchodzi się do dzieł zaangażowanych w problematykę współczesności łatwiej nie raz opublikować utwór pozbawiony cech zaangażowania, a nawet obcy filozoficznie. Mówił o tych sprawach — jak zawsze ze swadą — znany pisarz Jerzy Putrament na spotkaniu z łódzkim środowiskiem pisarskim.

PIĄTEK

„Pytają mnie nieraz czemu wyjechałem do Meksyku. Otóż do Meksyku wyjechałem z powodu kobiety i to kobiety starszej ode mnie o lat 516. Nazywała się Donna Marina i była kochanką Corteza" — powiedział Teodor Parnicki na spotkaniu w Klubie Stowarzyszenia „Pax". Wobec tego zdania nie istotny jest nawet fakt, że znakomity pisarz — powieści o Indiance Marinie w końcu nie napisał. W tym zdaniu jest jakaś próba określenia swojej życiowej drogi, swojego pisarstwa. Nawet jeśli było w tym zdaniu nieco kokieterii. Teodor Parnicki mówił o powieści historycznej, o fascynacji procesem przebierania się w historyczny kostium, o wskrzeszaniu umarłych postaci i społeczeństw. Mówił pięknie. Ilekroć słucham pisarza wracającego z emigracji, uświadamiam sobie jak brzydką polszczyzną posługujemy się na co dzień. Dla nas, tkwiących w nurcie przemian języka nie jest on problemem naczelnym. Nie jest problemem „być albo nie być". Parnicki mówił piękną polszczyzną — odświętną i czystą — taką jaką nam dane jest spotykać w dobrej, starej literaturze.

SOBOTA

Mamy antypowieść, mamy antyfilm, więc Klub Dziennikarza postanowił zorganizować antybal. Antybal — więc bal bez tańców i wódki? Okazało się, że aż tak źle nie było. Były tańce i spirytualia — był normalny, zwykły bal plus tzw. produkcje artystyczne. Czyli, podobnie jak z literaturą — antypowieść jest przecież w końcu też powieścią tyle że trochę inną.

NIEDZIELA

A w niedzielę cała Polska odprawia telewizyjne misteria. Z TV jest trochę jak kiedyś z „Przekrojem" — wszyscy narzekają, że staje się coraz gorsza, ale nikt nie przestaje oglądać. Może jednak warto czekać — dyrektor Brudzyński ze Studia Małych Form Filmowych tak ładnie mówił o trzech seriach (po siedem filmów każda) telewizyjnych filmów, jakie znajdują się w produkcji „Semafora". Chociaż — mój Boże — cóż zostanie na szklanym ekranie z kolorowych miniaturek Szczechury, czy Kotowskiego. Może już lepiej sprawdzą się w kineskopie filmy z dreszczykiem, te wszystkie „Gubernatory" z najazdem Marsjan i supertechniką. Ludziom zawsze za mało mocnego uderzenia i dreszczu emocji. Zresztą nic dziwnego. Lepiej znosi się wstrząsy przed ekranem telewizora niż w nie oświetlonej ulicy. Osobiście wolę nawet nudę w TV niż przygody z dreszczykiem w życiu.

J. W.

bestsellery tygodnia

FILM

BOLONIA „Dwa żebra Adama"	14.607	widzów
BAŁTYK „Pechowiec na prerii"	9.720	„

TEATR

NOWY — „Maria Stuart" Słowackiego (4 spektakle)	2.350	„
„Cyrano de Bergerac" Rostanda (1 spektakl)	430	„
POWSZECHNY — „Przygoda z Vaterlandem" Kruczkowskiego (3 spektakle)	1.900	„
„Jaśnie pan Nikt" Lope de Vegi (1 spektakl)	512	„
JARACZA — „Zaproszenie do zamku" Anouilha (4 spektakle)	1.764	„
„Moralność pani Dulskiej" Zapolskiej (2 spektakle)	1,297	„
OPERETKA — „Zaczęło się w banku" Minnickiej (6 spektakli)	3.020	„
OPERA — „Bal maskowy" Verdiego (2 spektakle)	1.116	„
FILHARMONIA — Koncert symfoniczny (Debussy, Ravel, Beethoven) (2 koncerty)	800	„
ESTRADA — Koncert zespołów łowickich i „Wesołego Autobusu" (1 koncert)	8.115	„

warto posłuchać

Dla wielu melomanów wartość muzyki dawnej polega przede wszystkim na jej kojącym oddziaływaniu. Przeciwstawia się ją chętnie muzyce XIX i XX wieku w większości „hałaśliwej i denerwującej" słuchacza spragnionego spokoju i ciszy. W tej bardzo zresztą uproszczonej ocenie jest sporo racji. Bardziej istotne jest jednak chyba to, że wykonywane obecnie utwory muzyki dawnej oparły się skutecznej trudnej próbie czasu, eliminującego bezwzględnie wszystkie utwory mierne, czy choćby przeciętnie dobre. Pozostały tylko najlepsze, najbardziej wartościowe. Muzyka okresów przedklasycznych przeżywa dziś swój wielki renesans — także w naszym kraju. Jednym z głównych ośrodków uprawiania tej muzyki jest Łódź. Nową tradycję rozpoczętą przed trzema laty I Ogólnopolskim Konkursem Muzyki Dawnej podtrzymuje orkiestra kameralna „Pro musica". Działając na zasadzie czystego, bezinteresownego amatorstwa w kilkakrotnych występach publicznych zespół wykazał dobry poziom techniczny, piękne brzmienia i stylowe wykonawstwo.

Orkiestra „Pro musica" wystąpi z pełnym programem muzyki kameralnej w sobotę, 8 lutego br. w sali Filharmonii. Na program wieczoru złożą się utwory Vivaldiego, Corelliego, Scarlatiego, Telemanna, Cacciniego i Hassego. Jako soliści wystąpią: śpiewaczka Lidia Skowron, sopran, w repertuarze pięknych, starowłoskich canzon i altowiolistą Zbigniew Frieman, który zaprezentuje bardzo interesujący i rzadko grywany koncert na altówkę i orkiestrę smyczkową G-dur Telemanna (1681—1767). Warto podkreślić, że orkiestra „Pro musica" złożona ze studentów PWSM i uczniów PLM gra bez dyrygenta. Kierownictwo artystyczne zespołu sprawują Zbigniew Frieman i Mirosław Pietkiewicz.

W ramach piątkowego koncertu abonamentowego (7. II. 64) wystąpi w Filharmonii orkiestra symfoniczna PWSM pod dyrekcją prof. Tomasza Kiesewettera. Pracująca pod stałym kierunkiem tego wytrawnego pedagoga orkiestra Wyższej Szkoły Muzycznej osiągnęła wysoki poziom artystyczny, którego sprawdzianem są ponawiane co pewien czas publiczne koncerty. W programie koncertu znalazły się wyłącznie dzieła kompozytorów polskich: uwertura do opery „Halka" Stanisława Moniuszki, koncert skrzypcowy A-dur Mieczysława Karłowicza (solistka — Janina Przyłęcka), „Rapsodia litewska" także Karłowicza i „Mała suita" Witolda Lutosławskiego. Utwory te obrazują w wielkim skrócie rozwój polskiej kultury muzycznej w ciągu minionych stu lat, zatem doskonale mieszczą się w koncercie, który jest pierwszą z licznych imprez muzycznych, organizowanych przez łódzkie szkolnictwo muzyczne w ramach obchodów Dwudziestolecia.

Wypada jeszcze poinformować czytelników, co robi w tym tygodniu orkiestra Filharmonii. Otóż nie próżnuje, lecz pod dyrekcją swego szefa Stefana Marczyka wyjeżdża na gościnne występy do Piotrkowa z koncertem muzyki popularnej (utwory Berlioza, Liszta, J. Straussa, Verdiego, Webera i Czyża; soliści: Danuta Debichowa i Bernard Ładysz). Jest to już drugi w tym sezonie wyjazd do Piotrkowa; pierwszy był bardzo udany, czyli impreza „chwyciła" i warto chyba pomyśleć o innych miastach województwa, nawet jeśli z powodu braku wielkich sal z dużymi estradami ograniczyć by trzeba skład orkiestry. W terenie jest wielki głód dobrej muzyki i wdzięczne pole dla szeroko pojętego upowszechnienia kultury.

Z. G.

Fot. M. KAPUŚCIŃSKA

jazz

III — BLUES

Materiał słowny i muzyczny zawarty w afrykańskich i chrześcijańskich pieśniach religijnych, pieśniach pracy, kołysankach, piosenkach pasterskich, szkockich i irlandzkich balladach — jednym słowem we wszystkich krzyżujących i splatających się na południu Stanów Zjednoczonych formach muzycznych inspiruje powstanie bluesa. Oparty na dziesięciostopniowej gamie bluesowej jest on ludową pieśnią murzyńską o nastrojowym charakterze, która rejestruje zarówno codzienne, szare życie ludzi, jak i komentuje wydarzenia o znaczeniu ogólnokrajowym. Staje się kronika, dokumentem swoich czasów. Prosty i zrozumiały to dokument. Zadowala się akompaniamentem starej gitary czy harmonijki i przemawia językiem jasnym dla ludu murzyńskiego, językiem nieskrępowanym i szczerym. Posługiwanie się bluesem jako sposobem wyrażania wewnętrznych nastrojów metoda przekazania opowieści o życiu staje się w środowiskach murzyńskich uświęconym i powszechnym zwyczajem.

„Niekiedy wesołe i hałaśliwe, przeważnie jednak sentymentalne — pisze znany teoretyk jazzu Dennis Askey — a zawsze zaprawione szczyptą cierpienia, bluesy stały się murzyńską poezją ludową".

Śpiewacy bluesów krążyli po Południu ze swoimi często wysłużonymi gitarami, śpiewając teksty własne i cudze. Na ulicach, w obskurnych knajpach i nędznych spelunkach zarabiali śpiewem na kawałek chleba. Skromne zarobki wynagradzała im popularność i entuzjazm słuchaczy.

Poprzez ciągłe obcowanie bluesa z nie zawsze świetlaną i czystą podszewką idealizowanego przez oficjalną propagandę życia społeczeństwa amerykańskiego pieśń ta „...ofiarowuje nam odwrotną stronę medalu mitów, którymi pyszni się Ameryka" (Claude Roy). Z tekstów bluesowych łatwo możemy odtworzyć zarówno obraz chaosu panującego na Południu po wojnie secesyjnej, jak i tragedii, spowodowanej gigantyczną powodzią Missisipi w 1927 r. Jeden z czołowych amerykańskich teoretyków jazzu prof. Marshall Stearns przyznaje, że blues jest wiernym dokumentem socjalno-ekonomicznym południa Stanów Zjednoczonych.

Blues przyczynił się do ujawnienia wielu wspaniałych gwiazd wokalnych. Interpretacje „Mamie" Yancey, Gertrudy „Ma" Rainey, Bessie Smith, Billie Holiday i wielu, wielu innych czarnych ludzi, wywodzących się z „drugiej strony medalu", wzruszają do dzisiaj — opierają się zwycięsko zalewowi imitacji produkowanych przez amerykański przemysł rozrywkowy. Inspirują powstawanie coraz to nowych tematów i odkrywanie nowych pieśniarzy. Leżą u podstawy istnienia wszelkiej muzyki typu „rhythm and blues", która w coraz to nowych formach (rock and roll, twist itp) potwierdza zdanie wypowiedziane przez badacza amerykańskiej muzyki ludowej Russella Ames: „Jeżeli istnieje jakaś amerykańska forma pieśni — to może nią być tylko blues".

ANDRZEJ KRÓLIKOWSKI

warto zobaczyć

TV

Niezbyt wiele godnych polecenia pozycji znajduje się w programie telewizyjnym bieżącego tygodnia. „Doktora Jekylla i Mr. Hyde'a", którzy wystąpią dzisiaj, 13 lutego, zapowiedaliśmy już w poprzednim odcinku. W piątek, 14 lutego, transmitowany będzie „Cyrano de Bergerac" Rostanda z Teatru Nowego w Łodzi. Spektakl oryginalny zaprezentuje — w tym roku po raz pierwszy — „Studio 64"; będzie to jednoaktówka Andrzeja Górnego „Ślub" w reżyserii Adama Hanuszkiewicza (środa, 19. II). Studio, w założeniu eksperymentalne, powołano do życia w roku ub.egłym. Krytyka wierzyła i wierzy nadal, że tu właśnie odkryte zostaną nowe, specyficznie telewizyjne środki wyrazu. Jak do tej pory, jedynym bezspornym sukcesem Studia była „Mała stabilizacja" Różewicza z Kucówną, Wolletką i Łapickim.

Z innym poetą, Tadeuszem Kubiakiem, spotkamy się w niedzielę, 16 lutego w programie „Afrodyta 64". Wierszom Kubiaka na łamach „Świata" od lat wiernie towarzyszy Bohdan Butenko, ten sam, który rysuje dla dzieci „pod" bajeczki nadawane na dobranoc. Miejmy nadzieję, że Afrodyta nie rozdzieli tego poetycko-graficznego tandemu.

Najlepiej jednak ratują ów niezbyt ciekawy tydzień „Dwaj starsi panowie". Zobaczymy ich, jak zwykle, w sobotni wieczór (15. II) i, jak zwykle, w towarzystwie Kaliny Jędrusik, Barbary Krafftówny, Ireny Kwiatkowskiej i panów Czechowicza, Gołasa, Leśniaka i Michnikowskiego.

Przy odrobinie dobrej woli mogą zasługiwać na uwagę dwa programy publicystyczne: młodzieżowy „Przyszłość z piasku", w piątek, 14 lutego, i „Dyrektor — to ja", z Katowic, w poniedziałek 17. II. Odrobina dobrej woli nie jest bynajmniej potrzebna problematyce tych programów: przyszłość młodzieży przy rozpoczynającym się wyżu demograficznym jest zagadnieniem poważnym, trudnym i dlatego pasjonującym; także osoba „szefa" żywo obchodzi każdego z nas. Dobra wola niezbędna jest dla strawienia formy, jaka ustaliła się w naszej publicystyce telewizyjnej. Właśnie Waldorff kupił sobie telewizor i mając świeże spojrzenie, celnie tę formę scharakteryzował:

„...połowę dziennego programu Telewizji Polskiej wypełniają przerażeni starsi panowie — specjaliści z różnych dziedzin, którzy siedzą wokół stołu jak śmiertelne kukły i w potworny sposób, dukają teksty wykute na pamięć".

Waldorff proponuje więc oddać starszych panów radiu. W zamian „Odgłosy" proponują telewizji skorzystać z przykładu Paul Coates Show, fascynującego odbiorców przez długich osiem lat. Zasada wywiadów Coatesa była prosta. Przede wszystkim każdy zawierał n i e s p o d z i a n k ę. Nadto Coates nie stronił od pytań „podchwytliwych", nie bał się treści w jakiś sposób szokujących, starał się, by wywiad dotyczył k o n f l i k t ó w, na jakie jego rozmówcy natrafiali w swym życiu tak zawodowym, jak osobistym...

A u nas nie ma przede wszystkim niespodzianki, bo publicystyka telewizyjna bywa na ogół wtórna w stosunku do prasowej. Nie ma nic szokującego, nie ma konfliktu — z wyjątkiem niektórych programów Marzyńskiego, gdzie wszyscy jesteśmy sędziami.

I tylko dwaj starsi panowie nie dukają. Wasowski i Przybora.

J. M.

warto posłuchać

Kolejna moja wędrówka po sklepach muzycznych nie przyniosła wielu pozycji godnych polecenia, okazała się za to bogata w refleksje dotyczące polityki handlowej „Polskich Nagrań". Półki sklepowe są bowiem puste. Po rzuceniu na rynek dużego wyboru płyt w okresie świątecznym „Polskie Nagrania" zapadły w błogi sen, z którego obudzą się prawdopodobnie albo po sezonie, w lecie, albo co też możliwe — na następne święta. A że obecnie dobrej muzyki trzeba szukać z przysłowiową świecą, że aktualne przeboje już za kilka tygodni staną się bezwartościową z handlowego punktu widzenia masą towarową — to furda...

Jak powiedziałem dobrej muzyki szczególnie rozrywkowej jest w sklepach bardzo niewiele. Wśród resztek pozostałych ze świąt znajduje się płyta XL 0161 — „Z melodią i piosenką dookoła świata", wydanie wznowione, proponujące bardzo już „leciwe" przeboje, umieszczone w dużo gorszej jakościowo niż wydania poprzednie kopercie. Cena taka sama — 80 zł.

MUZYKA POWAŻNA

Popularny tenor Bogdan Paprocki na płycie XL 0170 śpiewa arie operowe. Solście towarzyszy Orkiestra Symfoniczna Filharmonii Narodowej p. d. Jerzego Semkowa. Na płycie utrwalono pozycje z „Aidy" Verdiego, „Manon" Masseneta, „Pajaców" Leoncavalla i inne. Wartość płyty na pewno przewyższa jej przystępną cenę — 80 zł.

Osobną pozycję w nowościach płytowych stanowi muzyka i proza dziecięca. Ta ostatnia to bajki J. Brzechwy (N 0174) recytowane przez Alinę Janowską i Wiesława Michnikowskiego, bajki J. Tuwima i E. Szelburg-Zarembiny (N. 0146) w interpretacji Ireny Kwiatkowskiej i Henryka Ładosza. Cena — 30 zł i nazwiska twórców oraz wykonawców gwarantują dobrą zabawę nie tylko dzieciom, ale i dorosłym. Dorosłym też raczej polecam „Cztery pory roku" — wybór ze „Śpiewnika dla dzieci" z muzyką Noskowskiego do tekstów Konopnickiej (L 0398). 29 piosenek z roku 1890 śpiewają Jadwiga Romańska — sopran, Zdzisław Nikodem — tenor i Jerzy S. Adamczewski — baryton. Cena płyty — zł 100.

No i wreszcie płyta z importu, sprowadzona chyba tylko po to, aby pokazać „Polskim Nagraniom", jak należy towar reklamować. Jest to „Królewna Śnieżka" Walta Disneya (ABL 9) wydana w formie barwnej książeczki z ilustracjami, zawierającej teksty recytowanej i śpiewanej bajki. Niestety, płyty tej nie kupiłem swojemu synowi, chociaż świeciły mu się oczy do pląsających na okładce siedmiu krasnoludków. Za cenę niewydanych 276 (!) zł syn mój zgodził się słuchać śpiewu absolutnie antyutalentowanego wokalnie ojca —

PŁYTOMANA

Redaguje Zespół — Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka" — Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79
Warunki prenumeraty: miesięcznie zł 4; kwartalnie zł 12.
Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. — Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem: na „Odgłosy".
Druk: RSW „Prasa" — Łódź, Żwirki 17.
Zam. 412 II. 64 F-4